TYDZIEŃ

Nr 17 (41) ROK II

27. IV. 1947

CENA 15 ZŁ



Jerzy Szaniawski i Stanisław Dygat laureatami „Tygodnia"

NASZA OKŁADKA



rys. Bohdan Bocianowski
NA ŚWIĘTO LASU

tak i nie

Jeszcze o Franco



Jednym z paradoksów wynikających z utrzymaniem się reżimu generała Franco jest fakt, że Hiszpania ma obecnie zapłacić na rachunek odszkodowań wojennych kwoty, jakie Franco pozostał dłużny Mussoliniemu i Hitlerowi za pomoc wojskową w czasie wojny domowej. Mocarstwa anglosaskie w każdym bądź razie zażądały zapłaty. Franco ze swoją zwykłą bezczelnością znalazł wykręt i w tym wypadku. Po prostu wysunął żądanie odszkodowań pod adresem Niemiec i Włoch, w ten sposób ma pretekst do niezapłacenia. Niewiele by to pomogło, gdyby nie fakt, że istnieją potężne interesy zaangażowane w Hiszpanii frankistowskiej. Wystarczy wymienić amerykańskie linie lotnicze, które uzyskały koncesje na rozbudowę swoich szlaków komunikacyjnych w oparciu o bazy hiszpańskie.

Wina Austrii

RADA Ministrów Spraw Zagranicznych w Moskwie miała przy ustalaniu traktatu dla Austrii do rozstrzygnięcia zawiły problem: czy Austria ponosi winę za udział w wojnie po stronie Niemiec, czy nie ponosi?

Pytanie to posiada znaczenie czysto teoretyczne i szło dalej o ustalenie moralnej winy Austrii, gdyż Wielka Trójka zrzekła się odszkodowań od Austrii już na konferencji w Jałcie, a w Poczdamie zatwierdziła to pierwotne postanowienie.

Sytuacja Austrii była skomplikowana. Bo przecież za satelitę Niemiec w ścisłym tego słowa znaczeniu nie można jej było uważać, choćby z tej przyczyny, że w chwili wybuchu wojny nie była państwem suwerennym i nie przyłączyła się dobrowolnie do napadu hitlerowskiego. Z tego powodu sprawa jej została wyłączona z rokowań traktatowych z satelitami Niemiec, z którymi traktaty zostały już podpisane w Paryżu.

Z drugiej strony Austria została wprawdzie najechana zbrojnie przez Hitlera i wcielona do Niemiec i jako część składowa Trzeciej Rzeszy zmuszona została do wzięcia udziału w wojnie, ale uczyniła to bez oporu, a Austriacy oddali do dyspozycji Hitlera nie tylko dywizje frontowe, ale i dobry odsetek sił okupacyjnych, które odnosiły się do ludności podbitych krajów z taką samą surowością i srogością, co rdzenni Niemcy. Austriacy należeli i do SA i do SS, do załóg obozów koncentracyjnych i obozów śmierci w Polsce.

I nie ulega wątpliwości, że Austria wraz z resztą Niemiec ponosiłaby wszystkie konsekwencje klęski, gdyby nie jej specyficzna sytuacja polityczna.

Mocarstwa sojusznicze potępiły Anschluss, a tym samym przywróciły Austrii niezawisłość. Z tą chwilą przekreślona została faktyczna, lecz nie moralna wina Austrii za udział w wojnie po stronie Niemiec.

Ustaliwszy tę zasadę, przedstawiciele Wielkiej Trójki rzucili z konferencji w Moskwie w r. 1944 pod adresem Austriaków wezwanie do stworzenia ruchu oporu. Czy ten ruch oporu istniał? Sojusznicy twierdzą, że nie i że naród austriacki nie przyczynił się w niczym do swego wyzwolenia. Austriacy natomiast twierdzą, że tu i tam istniały ogniska oporu. W każdym razie, jeśli ruch oporu istniał w Austrii, to nie w takiej proporcji, by mógł przysporzyć Niemcom kłopotów w ostatniej fazie wojny.

W tych warunkach rozgrywka między mocarstwami na konferencji w Moskwie zapowiadała się ciekawie. Związek Radziecki domagał się uznania winy Austrii w wojnie po stronie Niemiec, pozostałe mocarstwa zajęły stanowisko przeciwne. I dopiero przy szczegółowym rozważaniu projektu traktatu dla Austrii, ponieważ zasada ta posiada znaczenie wyłącznie moralne, Bevin, Marshall i Bidault wycofali swe obiekcje i artykuł 1 traktatu dla Austrii ustala jej odpowiedzialność.

Skąd Niemcy miały pieniądze

JEST rzeczą powszechnie znaną, że Niemcy w okresie międzywojennym żyły z kredytów amerykańskich. Warto przypomnieć, że wynosiły one olbrzymią sumę 8 miliardów dolarów, tj. czterokrotnie więcej, niż Anglicy inwestowali w czasie swojego wiekowego panowania w Indiach.

Spośród 103 przedsiębiorstw przemysłowych niemieckich, które oprócz rządu, samorządów i banków, otrzymały kredyty, na pierwszym miejscu szły dwa koncerny: stalowy z 79 milionami dolarów i potasowy z 78 milionami. Na dalszych miejscach idą: Siemens — 48 milionów, A. E. G. — 35 milionów, I. G. Farben — 34 miliony. Wśród mniejszych pozycji figuruje Krupp ze skromną sumą 15 milionów dolarów.

Wolność prasy

AMERYKANIE robili wiele hałasu wokół uprawnień swoich korespondentów na konferencji moskiewskiej Czy aby będzie im wolno pisać o wszystkim? Czy aby sprawozdania dotrą na czas?

Okazało się, że wszyscy dziennikarze są bardzo zadowoleni i pracują całą parą, nie natrafiając na żadne przeszkody w wykonywaniu swego zawodu — ze strony radzieckiej. Natomiast sami Amerykanie nałożyli dziennikarzom więzy.

Obrady czterech ministrów odbywają się bez udziału przedstawicieli prasy. Po każdym posiedzeniu referent prasowy amerykańskiej delegacji informuje dziennikarzy swojego kraju o przebiegu obrad. Rzecz naturalna i zrozumiała Natomiast dziwnym się wydaje, że dziennikarzom nie wolno — pod groźą odwołania z Moskwy — podawać źródła swoich informacji. Innymi słowy, czytelnik amerykański, mający zaufanie do korespondentów nie wie, że wiadomość pochodzi i reprezentuje relację delegacji amerykańskiej i sądzi, że ma do czynienia z informacjami z pierwszej ręki.

W Polsce mówimy: nie kijem to pałką.

Strajk górników amerykańskich

WYBUCH w kopalni węgla brunatnego „Centralia" zabił 111 górników Na wezwanie swego przywódcy Johna Lewisa, górnicy porzucili pracę na znak żałoby i protestu. Jak się okazało, kopalnia „Centralia", jedna z wielu setek kopalń, będących w administracji (ale nie własnością) rządu, była czynna mimo, że jeden z inspektorów domagał się zamknięcia jej ze względu na istniejące niebezpieczeństwo.

W ciągu tygodnia od katastrofy zamknięto 518 kopalń, jako nie dających bezpieczeństwa górnikom. John Lewis zapytany, jak jest w innych kopalniach, oświadczył, że na 2.531 kopalń amerykańskich, jedynie 2 (dwie) są w należytym stanie i zażądał ustąpienia ministra spraw wewnętrznych, Kruga, który jest odpowiedzialny za stan kopalń.

Strajk górników amerykańskich nie jest oderwaną demonstracją, lecz jednym z wielu fragmentów walki amerykańskiego świata pracy o ochronę prawną, której kapitaliści amerykańscy chcą go pozbawić przy pomocy reakcyjnego ustawodawstwa.

Wolnoć Tomku...

WŁAŚNIE, że nie wolno. Naiwni Szwedzi myśleli, że kwestia ograniczenia przywozu luksusowych towarów, za które muszą płacić drogocennymi dolarami, jest sprawą wewnętrzną, że są państwem niepodległym itd. Rząd Stanów Zjednoczonych był innego zdania i wniósł formalny protest przeciwko ograniczeniu przywozu z Ameryki.

Zwycięstwo Francji



Francja odniosła w Moskwie poważne zwycięstwo węglowe. Na mocy specjalnego układu Bidault — Bevin — Marshall Francja otrzyma w ciągu 6 miesięcy począwszy od lipca 25 procent niemieckiej produkcji węgla na cele odbudowy swego przemysłu.

Ten sukces francuski poprzedzony został upartym i stale przez czynniki francuskie powtarzającym się żądaniem udziału Francji w dostawach węgla niemieckiego. Po pierwszej wojnie światowej Niemcy zdewastowali północno - francuskie zagłębie węglowe do tego stopnia, że Francja zabezpieczyła sobie Traktatem Wersalskim dostawy węgla niemieckiego.

W drugiej wojnie światowej Niemcy zniszczyli nie tylko kopalnie węgla, ale i przemysł francuski, który może się odbudować jedynie przy odpowiednich dostawach węgla. Początkowo brytyjskie władze okupacyjne wysyłały do Francji pewne ilości węgla, które zostały w jesieni przerwane. Wszelkie wysiłki w kierunku wznowienia dostaw nie odnosiły skutku. Leon Blum zamiast układu węglowego przywiózł z Londynu zapowiedź zawarcia sojuszu brytyjsko - francuskiego. W Dunkierce Bevin nie chciał rozmawiać o sprawach niemieckich, dopiero w Moskwie opór Bevina, bardzo silny początkowo, zmiękł następnie i Francja uzyskała znaczny sukces, w kołach obserwatorów moskiewskich nie bardzo oczekiwany.

Niebieskie usta

AMERYKAŃSKI dyrektor fabryki kosmetyków w New Yorku wypuścił na rynek pięć nowych rodzajów pomadki do ust w kolorach jasno-niebieskim, ciemno - brązowym, terracota, blado - białym i jasno-koralowym. Twierdzi on, że czerwona szminka jest już nie modna. Ciemno - brązowa jest przeznaczona dla brunetek z brązowymi oczyma. Niebieską poleca się dla platynowych blondynek, żyjących w ciepłym klimacie. Blady kolor nadaje się doskonale dla pań o złotych włosach.

tak i nie STRONA 4

Ostrze na ostrze

Greckie rodzynki

Bardzo mi zawsze żal, gdy widzę, jak marnują się talenty. Jest to zagadnienie t. zw. właściwych ludzi na właściwym miejscu, o czym pisaliśmy już kiedyś na łamach „Tygodnia", nawołując obywateli dozorców, by zastąpili akademików przy uprzątaniu ulic Warszawy. W tym wypadku — zachowując wszelkie proporcje — obserwujemy od dłuższego już czasu zapoznany talent poetycki o zacięciu liryczo - dramatycznym, który próbki swej twórczości fragmentarycznie zamieszcza w czcigodnej „Gazecie Ludowej".

Nie wiem, za jakie przewiny skazano talent ów na tak prozaiczne zajęcie, jakim jest w pracy redakcyjnej przygotowywanie do druku depesz. W miarę możliwości wspomniany wyżej poeta nie ustaje w usiłowaniach, by odrobiną polotu względnie smętnej zadumy okrasić suche komunikaty radia lub agencji. Ongiś ukuł wdzięczny przydomek generałowi Franco: „Dumny Hiszpan" z racji odrzucenia „obcej interwencji". Gotowi jesteśmy także sądzić, iż ten sam liryk drasnął lwim pazurem np. sprawozdanie z występów baletu Zofii Dróbeckiej, gdzie (mniam, mniam...) dostrzeżono w zespole jędrnych ciał „młodziutkiego, jak rodzynek smacznego tancerza!"

Ostatnio zanotowaliśmy znów kilka celniejszych utworów (rodzynków), które pokrótce omówimy. Przede wszystkim nasz utalentowany kolega wspaniałym chwytem zaskarbił sobie z miejsca wszystkie muzy greckiego Parnasu. Zatytułował on jedną z depesz: „Zmarł Król Hellenów Jerzy..." Wzruszone tym muzy nie odmówiły mu dalszego natchnienia.

W „Gazecie Ludowej" z dnia 21 kwietnia tak bowiem ich ulubieniec opiewa wydarzenia w Helladzie: „Nowa era w Grecji"... Pod tym tytułem następuje zbiór krótkich epigramatów, dostarczonych przez fale eteru, z których dowiadujemy się, iż era ta, według słów Tsaldasa, nastąpić ma na skutek udzielenia pomocy przez Amerykę, że generalna konfederacja pracy, zwolenniczka reform o tendencji antykomunistycznej nie świętuje 1-go Maja, że wojska rządowe chwalebnie gnębią partyzanckie bandy, które topnieją z dnia na dzień itd. itd. W słonecznej, radosnej Helladzie wszystko jest all right!

A przecież tak nie jesst. Zasłuchany w melodie słów warszawski piewca „nowej ery" nie dowidział faktów: tragicznej epopei greckiego ludu, który walczy o swoje prawo do życia, do wolności, do postępu — tych „Hellenów", którzy z pewnością nierównie mniej niż „Gazeta Ludowa" opłakiwali swego króla, ponieważ już kiedyś, dawno, bardzo dawno temu, poczuwszy do monarchii abominację, wymyślili wspaniałe słowo: demokracja . Demokracja, czyli władza ludu.

Sądząc z depesz, nawet tych z „Gazety Ludowej", bynajmniej nie wszystkich Greków nęci zapowiedziana złota era Trumanidasa.

Może to i poetycko (ale czy pożytecznie?) koloryzować depesze, przymykając oczy na rzeczywistość. Coprawda, nawet wielcy poeci ulegali czasami złudzeniom. Na przykład Homer, jeśli już o Grecji mowa. Homer był ślepy. Gdy pewnego razu śpiewał swe wiersze nad brzegiem morza, zdawało mu się, że olbrzymie tłumy słuchają go i oklaskują. A to tylko szumiały morskie... fale.

Avis

JERZY SZANIAWSKI I STANISŁAW DYGAT

LAUREATAMI NAGRODY „TYGODNIA"

ZA NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĘ POLSKĄ WYDANĄ W LATACH 1945—1946

W czwartek, 17 kwietnia rb. w lokalu redakcji „Tygodnia" odbyło się posiedzenie jury nagrody naszego pisma za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945—46.

W posiedzeniu udział wzięli: Michał Rusinek, jako przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki w zastępstwie wiceministra Leona Kruczkowskiego, który z powodu wyjazdu zagranicę nie mógł wziąć udziału w pracach sądu konkursowego; Jarosław Iwaszkiewicz i Juliusz Żuławski — jako przedstawiciele Związku Zawodowego Literatów Polskich;

Jerzy Wyszomirski — jako przedstawiciel spółdzielni wydawniczej „Tydzień";

Zbigniew Mitzner jako przedstawiciel redakcji „Tygodnia".

Protokół prowadził sekretarz redakcji „Tygodnia" Marian Bogacz.

Posiedzenie zagaił red. Mitzner, zapoznając zebranych z zasadami nagrody „Tygodnia". Na propozycję członków sądu red. Mitzner przewodniczył zebraniu.

Prace sądu konkursowego poprzedziło głosowanie czytelników, którego wyniki zostały przedłożone do jego wiadomości. W głosowaniu tym czytelnicy „Tygodnia" wymienili ponad 60 tytułów. Największą ilość głosów otrzymały książki następujące:

1. Arkady Fiedler — „Dywizjon" 303" — 341 głosów.
2. Janusz Meissner — „Żądło Genowefy" — 330 głosów.
3. Kamiński (Górecki) — „Kamienie na szaniec" — 265 głosów.
4. Tadeusz Breza — „Mury Jerycha" — 243 głosy.
5. Jerzy Andrzejewski — „Noc" — 211 głosów.
6. Jan Dobraczyński — „W rozwalonym domu" — 208 głosów.
7. Kazimierz Brandys — „Miasto niepokonane" — 206 głosów.
8. Jarosław Iwaszkiewicz — „Stara cegielnia" — 191 głosów.
9. Stanisław Dygat — „Jezioro Bodeńskie" — 183 głosy.
10. Ksawery Pruszyński" — „Droga wiodła przez Narvik" — 175 głosów.

Wobec tego, iż Jarosław Iwaszkiewicz jako członek jury wycofał swą kandydaturę, dziesiąte miejsce zajęła książka Wojciecha Żukrowskiego — „Z kraju milczenia", która otrzymała 168 głosów.

Przystępując do obrad, Michał Rusinek proponuje zgodnie z regulaminem podzielenie nagrody „Tygodnia", przy czym połowa przypadłaby jednej z książek beletrystycznych spośród dziesięciu, które zostały wytypowane przez czytelników, druga połowa zaś książce z dziedziny poezji lub dramatu, który otrzymała mniejszą ilość głosów. Projekt swój Michał Rusinek uzasadnia tym, iż przy wszelkich głosowaniach publicznych proza beletrystyczna uzyskuje zawsze wybitną przewagę nad innymi rodzajami literatury, dzięki czemu twórcy ich są przy rozdziale nagród pokrzywdzeni, niezgodnie z wartością swych dzieł.

Pozostali członkowie jury przychylają się do poglądu wyrażonego przez Michała Rusinka. W toku dalszych obrad jury przystępuje do omawiania poszczególnych kandydatów.

Michał Rusinek zgłasza kandydatury Leopolda Staffa za zbiór poezji p. t. „Martwa pogoda" i Jerzego Szaniawskiego za utwór dramatyczny „Dwa teatry".



STANISŁAW DYGAT

urodził się 5 grudnia 1914 roku w Warszawie. Po ukończeniu szkoły średniej studiuje początkowo architekturę, a następnie filozofię na Uniwersytecie Warszawskim pod kierunkiem prof. Tatarkiewicza. Pracę literacką rozpoczyna jeszcze przed wojną drobnymi utworami publikowanymi w prasie i w radio.

W czasie wojny jako obywatel francuski jest przez rok internowany przez Niemców w obozie w Konstancji. Napisane w tym okresie „Jezioro Bodeńskie" postawiło go w czołowej grupie młodej literatury polskiej. Oprócz „Jeziora Bodeńskiego Dygat jest autorem dwóch sztuk teatralnych, z których jedna „Zamach" napisana jest wespół z Tadeuszem Brezą.



JERZY SZANIAWSKI

urodził się w roku 1887. Studiował w Genewie. Jest członkiem Polskiej Akademii Literatury i laureatem Państwowej Nagrody Literackiej (1929). Jego utwory sceniczne postawiły go na czele współczesnej polskiej twórczości dramatycznej. Ogłosił m. in. powieść „Miłość i rzeczy poważne", nowele „Łgarze pod złotą kotwicą" oraz utwory sceniczne: „Papierowy kochanek", „Ewa", „Ptak", „Murzyn", „Żeglarz", „Adwokat i róże", „Lekkoduch", „Dziewczyna z lasu" i „Dwa teatry".

Jarosław Iwaszkiewicz zgłasza kandydaturę Stanisława Dygata za powieść „Jezioro Bodeńskie". Jerzy Wyszomirski proponuje kandydatury Kazimierza Brandysa („Miasto niepokonane") i Adama Krzyżanowskiego („Wiek XX").

Michał Rusinek wypowiada się przeciw kandydaturze Krzyżanowskiego ze względów formalnych, pragnąc utrzymać, zgodnie z konkursem, literacki charakter nagrody.

Zbigniew Mitzner wypowiada się również przeciwko kandydaturze Krzyżanowskiego ze względów merytorycznych. Jest on przeciwny Krzyżanowskiemu jako teoretykowi liberalizmu ekonomicznego.

Jarosław Iwaszkiewicz stwierdza pół-żartem, pół-serio, iż stanowisko Mitznera mogłoby go skłonić do poparcia kandydatury Krzyżanowskiego.

Jeśli chodzi o kandydaturę beletrystyczną wypowiada się za Dygatem, którego książkę ze względów artystycznych stawia wyżej od książki Brandysa.

Jeśli chodzi o kandydaturę Staffa członkowie jury przyznają zgodnie, iż ze względu na jego wyjątkową pozycję w literaturze polskiej nie należałoby udzielać mu tylko połowy nagrody, a jury nie ma możności przyznać mu całej nagrody ze względu na wyniki głosowania czytelników.

Okazuje się, iż w próbnym głosowaniu za kandydaturami Szaniawskiego i Dygata wypowiada się czterech członków jury. Wobec tego Jerzy Wyszomirski wycofuje zgłoszone przez siebie kandydatury Brandysa i Krzyżanowskiego. W ten sposób na podstawie jednomyślnej decyzji sądu nagroda „Tygodnia" za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945—46 w wysokości stu tysięcy złotych przyznana zostaje łącznie Jerzemu Szaniawskiemu za „Dwa teatry" i Stanisławowi Dygatowi za „Jezioro Bodeńskie".

Na tym posiedzenie zostało zakończone, a przewodniczący składa wyrazy podziękowania obecnym za udział w pracach jury.

Po posiedzeniu redakcja „Tygodnia" podejmowała członków sądu lampką wina.

Uroczyste wręczenie nagrody laureatom nagrody „Tygodnia" odbędzie się w najbliższym czasie. W numerze następnym ogłosimy listę czytelników, którzy otrzymali nagrody książkowe za wzięcie udziału w głosowaniu.

Na 1-go i 3-go maja

Następny specjalny numer „Tygodnia" ukaże się w objętości 24 stron przynosząc prace następujących autorów:

Alfred Degal	*Janusz Odrowąż*
Włodzimierz Dzwonkowski	*Jan Rojewski*
Pola Gojawiczyńska	*Michał Rusinek*
Stefania Grodzieńska	*Artur Sandauer*
Jarosław Iwaszkiewicz	*Grzegorz Timofiejew*
Mieczysław Jastrun	*Jerzy Wyszomirski*
Wanda Melcer	*Laryssa Zajączkowska*
Zbigniew Mitzner	*Juliusz Żuławski*

Poza tym w numerze tym rozpoczniemy druk rewelacyjnych materiałów z dokumentów wywiadu angielskiego i amerykańskiego pod tytułem:

OSTATNIE DNI HITLERA

Tak i nie

Niemiec „za", Polak „przeciw"

PRZED niedawnym czasem gen. Anders wypowiedział się na łamach szwajcarskiego tygodnika „TAT" przeciw zachodnim granicom Polski zakreślonym na konferencji poczdamskiej. Anders raczył przyznać Polsce tylko Prusy Wschodnie, Gdańsk i cały Górny Śląsk. Resztę odrzuca, gdyż jego zdaniem Polska nie potrafiłaby zagospodarować reszty ziem zachodnich.

Tymczasem niedawno jakiś dr Schmidt, historyk z miasta Halle w Saksonii, oświadczył w swym odczycie, że Niemcy powinni być szczęśliwi, iż Polska zadowala się obecnymi granicami, gdyż Słowianie mieszkali ongiś nawet w Saksonii i po dzień dzisiejszy jeszcze tam mieszkają i zostali wyparci, lub wchłonięci przez Niemców.

Praca dla Herrenvolku

ORGAN dra Schumachera, „Der Sozialdemokrat" nie może ukryć swej radości z powodu wydania przez brytyjskie władze okupacyjne zarządzenia, wprowadzającego przymus pracy dla 234.000 osób przesiedlonych różnych narodowości, przebywających na terenie okupacji brytyjskiej. „Sozialdemokrat" podkreśla, że wśród tych tysięcy znajduje się 33.000 byłych więźniów niemieckich obozów. Wszyscy ci ludzie, zebrani w różnych łapankach i popędzeni do Niemiec na roboty przymusowe, pracowali w pocie czoła przez szereg lat na naród panów. Obecnie ten sam przymus stosują wobec nich władze brytyjskie, a Niemcy cieszą się, że ci byli niewolnicy wciągnięci zostają w proces odbudowy Niemiec.

Okazuje się przy tym wszystkim, że przesiedleńcy, którzy w obozach korzystali z lepszych warunków życia, zapędzeni przez Anglików do przymusowej pracy na rzecz odbudowy Niemiec, korzystać będą z tych samych warunków życia, co Niemcy, zatem z gorszych.

Wszyscy przesiedleńcy muszą się natychmiast zgłaszać do niemieckich urzędów pracy, które skierują ich do pracy.

Należy przypuszczać, że to zarządzenie władz okupacyjnych brytyjskich zachęci wielu Polaków do powrotu do kraju.

Cenne wyznania

SZEF jednego z wydziałów amerykańskiego Departamentu Stanu, Gelbrit, oświadczył niedawno, że sprawa kredytów amerykańskich dla Niemiec, którą zajmuje się Kongres ma większe znaczenie dla Niemców, aniżeli konferencja moskiewska.

Bynajmniej w to nie wątpimy. Bo w Moskwie przygotowuje się traktat dla Niemiec, z którego Niemcy w żadnym wypadku nie będą zadowoleni, a w Waszyngonie przygotowuje się dla nich worek dolarów, z którego z pewnością będą zadowoleni.

I jeszcze jedno cenne wyznanie: współpracownik amerykańskiego departamentu wojny, Petersen, oświadczył, że Niemcy zawsze sprowadzali żywność. Aby jednak importować żywność muszą eksportować wyroby przemysłowe, a na ich produkcję potrzebują surowców, a dla zakupu surowców pieniędzy. Więc Ameryka będzie musiałą tych pieniędzy dostarczyć.

Najcenniejsze jest w tym wszystkim przyznanie, że Niemcy zawsze sprowadzali żywność. Tymczasem Niemcy wmawiają w cały świat, że dla swego wyżywienia potrzebują ziem za Odrą i Nisą. I niektórzy Amerykanie w to wierzą.

Czyżby socjalizm w Guatemali?

JEŻELI wierzyć amerykańskiemu korespondentowi Wallace'owi, to Guatemala jest jedynym krajem na zachodniej półkuli ,w którym władza znajduje się w ręku socjalistów. Twierdzenie jest nieścisłe choć przesłanki są dosyć ciekawe. Na skutek konfiskaty mienia niemieckiego w Guatemali, trzecia część produkcji rolnej znalazła się w rękach rządu. Władze administracyjne zarządzają czwartą częścią najlepszych plantacji kawy od roku 1944. W ciągu trzech niespełna lat zarobek dzienny peona, pracującego na rządowych posiadłościach wzrósł z 5 centów dziennie na 50 centów. Rząd obiecuje wybudować dla peonów nowe domy z mieszanki cementowej. Ponieważ władca Guatemali Jose Arevalo nie godzi się dotychczas na propozycje odsprzedaży państwowych gruntów w prywatne ręce, amerykański dziennikarz uznał, że Guatemala jest najbardziej lewicowym krajem Ameryki.

Za dwa papierosy

ZASTĘPCA Goebbelsa, szef prasowy Niemiec, słynny i osławiony dr Dietrich, przebywa w jednym z obozów internowanych w Niemczech, gdyż niezrozumiałym trafem nie znalazł się na ławie oskarżonych w Norymberdze. Jak donosi prasa angielska, Dietrich zarabia na życie w swym dawnym zawodzie — robi propagandę. Napisał po prostu dwie książki: „Z Hitlerem po władzę" i „Z Hitlerem do klęski". Ponieważ nie znalazł się jeszcze żaden przedsiębiorczy wydawca, Dietrich wypożycza swoje rękopisy współinternowanym do czytania — za jedne dwa papierosy.

Jan Skulski

KOMU USCHNIE RĘKA — CZYLI NOWE PRÓBY STAREGO SZANTAŻU

Niemcy podochoceni możną opieką Anglosasów czynią próby powtórzenia szantażu z lat 1918—19. W ich przemówieniach i w prasie coraz częściej pojawiają się słowa groźby, że żaden Niemiec nie podpisze traktatu pokojowego ustalającego granice na Odrze Nisie.

W orędziu noworocznym przewodniczący CDU (Christliche Demokratische Union) Adenauer, oświadczył, że „żaden polityk chrześcijańsko - demokratyczny nie podpisze traktatu pokojowego uznającego za granicę linię Odry i Nisy". W kilka dni później przywódca FDP Maier — Boden oświadczył w Düsseldorfie, że „nigdy nawet nie myślano o tym, aby położyć podpis pod traktat pokojowy zawierający postanowienia o linii granicznej na Odrze i Nisie".

Nie zabrakło też w tej sprawie głosu smutnej sławy p. Schumachera. „Bezsensownym byłoby dla Niemiec — oświadczył on — podpisanie traktatu pokojowego, który by utrwalił tymczasową granicę administracyjną".

Cel tych wystąpień jest w równej mierze niecny jak i prowokacyjny. Z jednej strony reakcyjne koła niemieckie czynią próbę szantażu demokratycznej opinii świata, grożąc niepodpisaniem traktatu pokojowego, z drugiej zaś strony, koła te chętnie widziałyby taki stan rzeczy, w którym Niemcom zostałby narzucony przez sojuszników jednostronny statut pokojowy. Byłoby to wodą na młyn propagandy szowinistycznej o nowym „dyktacie" i sprzyjałoby odrodzeniu idei odwetu i militaryzmu Niemiec.

Należy dodać, że inicjatorem jednostronnego statutu pokojowego dla Niemiec jest stały amerykański doradca polityczny w Niemczech i doradca min. Marshalla na Konferencji Moskiewskiej Robert Murphy. W związku z tym projektem, który zresztą został w Moskwie zarzucony, pozostaje inny projekt tegoż Murphy'ego, przewidujący utworzenie państwa zachodnio - niemieckiego z połączonych zachodnich stref Niemiec.

Projekt ten, będący swego rodzaju wariantem federalistycznych Niemiec, został z entuzjazmem powitany przez reakcję niemiecką. Na konferencji premierów krajowych rządów stref anglosaskich, przyjęto rezolucję, wyrażającą gotowość utworzenia państwa zachodnio - niemieckiego. W tym celu wybrano nawet specjalną komisję polityczną, na której czele stanął Bernhard, były sekretarz Stressemana.

Fakty te rzucają ciekawe światło na projekty anglosaskie w sprawie federalistycznego ustroju Niemiec i jednostronnego statutu pokojowego. W istocie rzeczy realizacja tych projektów idzie na rękę imperialistycznym dążeniom niemieckiej reakcji.

Cóż więc dziwnego, że coraz częściej słychać w Niemczech stare hasło militarystów z roku 1918—19, że ręka uschnie temu Niemcowi, który się odważy podpisać traktat pokojowy. Ze swej strony możemy dodać, że Niemcy uporczywie nie rozumieją i nie wyciągają nauk ze swej historii, która przecie uczy, że w ostatecznym rozrachunku ręka usycha nie temu, który zawiera pokój, lecz temu, który wszczyna wojnę...

Gdyby zgodnie z planem Marshalla miało nastąpić jakiekolwiek naruszenie granicy na Odrze i Nisie, byłby to pierwszy, ale na pewno nie ostatni krok nowego niemieckiego Drang nach Osten.

Przypomina się anegdota francuska, jak to pewien chłopiec płakał z powodu tego, że mu matka kazała powiedzieć „a"; na zapytanie dlaczego płacze odparł: gdy powiem „a", to mi każą powiedzieć „b". Czy ministrowie Marshall i Bevin zdają sobie sprawę z tego, że gdy oni dziś wymawiają w sprawie rewizji granic „a", Niemcy jutro powiedzą „b". Jak wiadomo, trudno powiedzieć, gdzie według Niemców leżą ich granice wschodnie. Przypomnijmy tylko, że Niemcy w swej historii gwałtów i grabieży, nie zadowalali się granicą nawet na Wiśle czy Niemnie i sięgnęli do Wołgi. Jakąż wartość mają argumenty Niemców, że Wrocław i Szczecin to prastare niemieckie miasta, gdyśmy jeszcze trzy lata temu słyszeli to samo o Krakowie, Poznaniu i Łodzi.

Przewodniczący niemieckiej Partii Liberalno - Demokratycznej dr Wilhelm Külz, uzasadniając konieczność przyłączenia naszych Ziem Odzyskanych do Niemiec, oświadczył: „Polacy nie są w stanie zaludnić tych ziem, gdyż wojna wykrwawiła ich tak dalece, że nie posiadają po prostu dostatecznej ilości ludzi, aby móc administrować tak rozległymi terenami". Abstrahując od tego, żeśmy czynami rozwiali płonne obawy dra Külza, symptomatycznym jest to, że Niemcy chcieliby dziś zdyskontować na swój rachunek to, co miał na widoku Hitler wytaczając z nas morze krwi.

Gdy wielkie mocarstwa na Konferencji w Jałcie i Poczdamie przyznały nam Ziemie Odzyskane, nie było to podarunkiem. Klęska Niemiec hitlerowskich, do której przyczyniły się w niemałej mierze, stworzyła tylko możliwość wyrównania historycznego rachunku krzywd, jakich doznaliśmy na przestrzeni wieków od Niemiec i pozwoliła na realizację naszych odwiecznych aspiracji narodowych. Odebraliśmy nasze własne ziemie, które w ciągu wieków Niemcy pożogą i żelazem wyrywali z żywego ciała Polski. Granica na Odrze i Nisie była jednocześnie realizacją jednego z wielu słusznych i sprawiedliwych celów koalicji narodów demokratycznych w tej wojnie.

Minęło bezmała dwa lata od chwili zwycięstwa, a cele niektórych mocarstw uległy zasadniczej zmianie. Zdajemy sobie sprawę, że wystąpienie min. Marshalla jest „grą dyplomatyczną na wielką skalę, w której sprawy polskie są tylko przykrywką" (min. Modzelewski), niemniej jednak odmawiamy prawa wszczynania dyskusji na temat rewizji naszych granic na Odrze i Nisie.

Jeśli dziś reakcja niemiecka ma odwagę i możność swobodnego prowadzenia antypolskiej, rewizjonistycznej nagonki, to jest to bezpośredni skutek stanowiska Marshalla i Bevina, którzy argumenty niemieckie przyjęli za swoje tezy.

Są wprawdzie w Niemczech — niestety nieliczne — elementy szczerze demokratyczne, które uważają granicę na Odrze i Nisie za jedynie możliwą, ale elementy te nie znajdują łaski w oczach państw anglosaskich.

Stanowisko społeczeństwa polskiego w sprawie granic na Odrze i Nisie jest zdecydowane i jednolite, gdyż zdajemy sobie sprawę, że nie ma Polski bez Ziem Odzyskanych.

DENAZYFIKACJA



Angielskie mydło i amerykański ręcznik.

(Action — Paryż)

W dziesiątą rocznicę zgonu Drzymały

Jak chłop polski ośmieszył Kaisera

Skończył się „Tydzień Ziem Odzyskanych", a żadne pismo nie poświęciło z tej okazji ani słowa Michałowi Drzymale, który w początkach bieżącego wieku stał się bohaterem narodowym w walkach o polskość naszych Ziem Zachodnich.

W okresie ogromnego ucisku i bezprawia pruskiego na Śląsku, Pomorzu i w Poznańskim, kiedy język polski usunięty został ze szkół, sądów i urzędów — Komisja Kolonizacyjna wykupywała ziemię od słabszych materialnie i moralnie chłopów i ziemian polskich i osiedlała na niej kolonistów niemieckich. Powstał w ten sposób żelazny pierścień osadników niemieckich dokoła miast i miasteczek polskich. A ponieważ kolonistom nie wolno było szukać porad u lekarzy i adwokatów polskich, ani też czynić żadnych zakupów u Polaków, przeto sprowadzono z Niemiec: rzemieślników, kupców, lekarzy i adwokatów, zniemczając w ten sposób miasta. Przed ogłoszeniem ustawy o przymusowym wywłaszczeniu, ofiarą której padło wielu Polaków, rząd pruski wydał zakaz budowania domów mieszkalnych na nowych parcelach bez uzyskania na to zgody miejscowego landrata. Nie wolno też było wznosić żadnych budynków gospodarskich ani przybudówek.

W roku 1904 Michał Drzymała zebrał ciężką pracą na służbie folwarcznej trochę pieniędzy i kupił kilka hektarów ziemi w Podgradowicach w powiecie wolsztyńskim. Postawił sobie stodołę i zamierzał wybudować chatę ale żandarmi dowiedzieli się o tym zamiarze i donieśli landratowi w Wolsztynie — Bockowi, który znany był ze swego polakożerstwa. Bock wydał bezwzględny zakaz postawienia domu.

Drzymała, z uporem, jaki cechuje naszych chłopów, nie ustąpił i postanowił zamieszkać w wozie ruchomym na kołach, jaki widział u wędrownych Cyganów.

W tym czasie przebywała w Grodzisku — oddalonym o 12 km od gospodarstwa Drzymały — grupa Cyganów. Dowiedział się o tym Drzymała i pojechał do miasta, gdzie kupił od wędrownej trupy — duży wóz w niezłym stanie za 360 marek. Z triumfem powrócił do swojej siedziby i przezornie pozostawił koła przy wozie. Wewnątrz wstawił piecyk żelazny, przeprowadził komin przez dach, wstawił część sprzętów i zamieszkał wraz z żoną i dziećmi. Trapiło go to, że nie mógł być gospodarzem we własnej chacie na swojej ziemi, ale za to postawił na swoim i spłatał figla landratowi i żandarmom niemieckim. Wieść o tym rozeszła się szybko po całej Polsce, a nawet zagranicą. Cała prasa polska, a w ślad za nią: angielska, francuska, szwajcarska, włoska i szwedzka szeroko rozpisywały się o tym wypadku. Drzymała stał się bohaterem dnia.

Chcąc przyjść z pomocą Drzymale, powstał w Poznaniu Komitet, w skład którego weszli: adwokat Jarogniew Drwęski (późniejszy prezydent miasta Poznania), redaktor „Gońca Wielkopolskiego" Bernard Milski i Tadeusz Sas-Jaworski. Z całej Polski posypały się liczne ofiary pieniężne, w których przodował „Dziennik Kijowski". Po zbadaniu sytuacji na miejscu Komitet postanowił wybudować dla Drzymały specjalny duży wóz na kołach o podwójnych ścianach, który się miał składać: z przedsionka z podwójnymi drzwiami, kuchenki i pokoju. Łóżka miały być wpuszczone w ściany, a dwa piece izolowane miały ogrzewać ten niezwykły dom.

Zanim Komitet zrealizował swój zamiar, Niemcy rozpoczęli gnębić Drzymałę. Żandarmi stali się częstymi gośćmi w jego zagrodzie. Sypały się protokóły i grzywny. Drzymała często wzywany był do landrata w Wolsztynie, który początkowo pieniędzmi, a później groźbą usiłował zmusić go do zrezygnowania z ziemi i przeniesienia się w inne miejsce, na wschód. Sprawa ta stała się tak dalece głośna, że w parlamencie pruskim admirał Guenther Hohenzollern żartował z cesarza Wilhelma II, że go „głupi chłop polski ośmieszył na całą Europę".

Szły więc nakazy z Berlina, aby prośbą lub groźbą usunąć Drzymałę i w ten sposób zatuszować całą sprawę. Ale Drzymała nie uląkł się, przekupić się nie dał, przesuwał tylko swój wóz z miejsca na miejsce na dowód, że nie jest to stałe mieszkanie w myśl „prawa osiedleńczego". Nie uniknął jednak licznych kar jak np. za brak higieny lub za niebezpieczeństwo wywołania pożaru. Wreszcie w zimie 1905 r. wyrzucili żandarmi piecyk z wozu Drzymały, tak że żona jego musiała gotować strawę na podwórzu, a cała rodzina marzła w nieopalonym wozie.

W lecie 1906 r. dzięki ofiarności niejakiego Degórskiego z Poznania za pieniądze uzyskane ze składek społeczeństwa polskiego, wybudowany został nowy wóz, w myśl projektu Komitetu, przy czym Degórski wykonał go tylko za zwrotem kosztów materiału. Przy udziale licznych widzów i wściekłości żandarmów wóz wyjechał z Poznania i przybył do Podgradowic.

Niestety nie długo cieszyli się Drzymałowie tym nowym mieszkaniem, gdyż już w następnym roku Niemcy uznali, że wóz chociażby ruchomy jest jednak stałym mieszkaniem, na które nie było pozwolenia i naciągając ustawę, landrat kazał go żandarmom usunąć. Wobec tego właściciele nominalni, którzy figurowali na tabliczce wozu (trzej wyżej wymienieni członkowie Komitetu) i wydzierżawili go Drzymale za symboliczną 1 markę rocznie, musieli wóz zabrać. Aby jednak pozostał widomy znak przywiązania polskiego chłopa do ziemi — wóz wysłano do Krakowa i umieszczo w Barbakanie. Drzymała zamieszkał więc w swojej stodole, ale i stamtąd wyrzucili go Niemcy po kilku tygodniach. Pomimo tego nie ustąpił, lecz wynajął sobie kąt u jednego z chłopów w Rakoniewicach i tam zamieszkał. Przekazane mu ofiary przeznaczył na ulepszenie swego gospodarstwa, na którym dalej pracował wytrwale, jako wzór nieugiętego, cichego i skromnego obrońcy ziemi polskiej i doczekał się wreszcie wyzwolenia spod tyranii niemieckiej.

W 1927 r. sejmik wojewódzki w Poznaniu przyznał 70-letniemu Michałowi Drzymale stały zasiłek roczny, a w roku następnym ofiarowano mu kilkunasto hektarową osadę w Grabowie w pow. Wyrzyskim, tam też umarł 26 kwietnia 1937 r. pochowany na koszt Skarbu Państwa, a trumnę jego udekorowano Krzyżem Polski Odrodzonej.

Obecnie w dziesiątą rocznicę zgonu tego wytrwałego i niezłomnego syna naszej ziemi godzi się przypomnieć o nim i wykazać nowym obrońcom Niemiec, że Ziemie Odzyskane to prastare Ziemie polskie, wydzierane siłą chłopu polskiemu na przestrzeni wieków przez niemieckich prześladowców.

M. B.

Poznań przed Targami

Poznań żyje w gorączce przedtargowej. Będą to pierwsze po wojnie Międzynarodowe Targi. W roku ubiegłym był raczej pokaz, nawet nie wystawa.

Nic też dziwnego, że miasto sposobi się na przyjęcie gości, których napływ z całej Polski wyniesie, jak wytrawni znawcy oceniają, około 3 miliony.

Stąd też przed Zarządem Miasta, jak i przed dyrekcją Targów wyrasta niemały kłopot z zakwaterowaniem i zaprowiantowaniem przyjezdnych.

Statystycy obliczają, że na zaaprowidowanie takiej masy ludności będzie potrzeba dziennie około 1.500 wagonów środków żywnościowych.

Te trudności nie odstraszają Poznaniaków, toteż przygotowania do Targów dobiegają końca.

I „Społem" wystąpi na tegorocznych Targach okazale. Pawilon społemowski będzie się mieścił w głównej hali wystawowej. Jego powierzchnia obejmie 27 m długości, 13 szerokości. Mieścić się tu będą: biuro dla dokonywania transakcji, stoiska branżowe wytwórni i fabryk społemowskich. Główne wejście w formie kulistej ozdobi obelisk, wysokości 17 metrów.

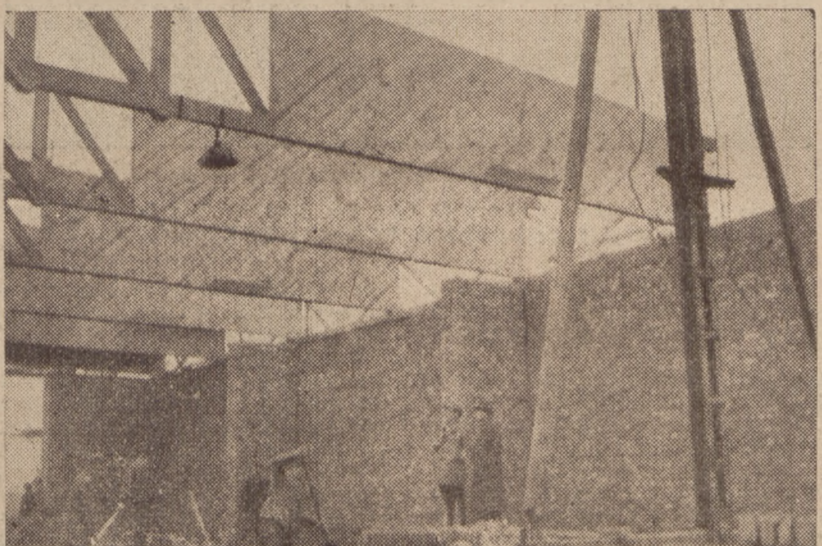
Pawilon „Społem" jest tak pomyślany w realizacji, że będzie budynkiem nie tylko prowizorycznym, ale, wykonany z cegły, zewnętrznie otynkowany, powiększy kompleks gmachów wystawowych na stałe.

Prace budowlane prowadzi S.P.B.

Jak znawcy już dziś ze stanu robót i projektów orientują się, pawilon „Społem"



będzie należał do rzędu najokazalszych pawilonów Targów tegorocznych.



Budowa głównej hali w początkowej fazie.

Murray D. Lincoln

Prezes Amerykańskiej Ligi Spółdz.

TENDENCJE ROZWOJOWE RUCHU SPÓŁDZIELCZEGO W U. S. A.

Ruch spółdzielczy wywalczył sobie miejsce w amerykańskim życiu gospodarczym. W ciągu ostatnich dziesięciu lat znaczenie spółdzielczości wzrosło znakomicie, zdobywając trwałą pozycję i możliwości rozwojowe w ramach gospodarki narodowej.

Spółdzielnie wpłynęły na podniesienie rzeczywistego dochodu swoich członków tak na wsi, jak i w miastach. Stanęły z powodzeniem do walki z monopolami. Stworzyły trwałe i celowe wspólnoty. Opierają się na zasadzie wzajemnej pomocy w przeciwieństwie do zależności od pomocy państwa. W systemie gospodarczym, który zmierza coraz silniej do rozwiązywania problemów przy pomocy państwa, spółdzielnie wyróżniają się nie tylko zaufaniem we własne siły, lecz również praktyczną skłonnością do swobodnego współzawodnictwa i inicjatywy.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat idea spółdzielcza zdobyła sobie rosnące uznanie poważnych grup społeczności amerykańskiej. Spółdzielnie wyrosły już z powijaków. Istnieje obecnie ponad 30.000 spółdzielni wszelkich typów, które zrzeszają ponad 5.000.000 członków. Nie ma dziedziny w amerykańskim życiu gospodarczym, do której nie wdarłyby się spółdzielnie. Spółdzielnie posiadają banki, źródła naftowe, fabryki maszyn rolniczych, tartaki, drukarnie, księgarnie, fabryki konserw, młyny, fabryki kosmetyków, rafinerie nafty i rurociągi naftowe, palarnie kawy, elewatory zbożowe, piekarnie i mleczarnie. Spółdzielcze kasy chorych opiekują się członkami od urodzenia do śmierci. Ogółem organizacje spółdzielcze w Stanach Zjednoczonych działają na sześćdziesięciu dwóch odcinkach, wymieniając towary i świadcząc usługi. Poza tym dysponują wielotysięczną siecią własnych sklepów.

Amerykański ruch spółdzielczy występuje przede wszystkim na wsi. Prawie wszystkie spółdzielnie wytwórcze i organizacje zbytu, oraz trzy czwarte spółdzielni spożywczych, mają siedzibę na wsi. Opierając się na danych szacunkowych, można stwierdzić, że przynajmniej co czwarty farmer należy do jednej lub kilku spółdzielni rolniczych. Dzielą się one na trzy kategorie: spółdzielnie wyspecjalizowane w sprzedaży produktów swoich członków, spółdzielnie, które trudnią się wyłącznie zaopatrzeniem swoich członków i spółdzielnie typu mieszanego. Daje się zauważyć tendencja rozwojowa, korzystna dla spółdzielni powszechnej. W ciągu najbliższych 25 lat staną się najsilniejszym elementem w gospodarce rolnej tego kraju.

Spółdzielnie, wyspecjalizowane w sprzedaży wytworów rolnych, zmierzają systematycznie do przerabiania ich i bezpośredniego dotarcia do detalisty. Dziś jedna szósta produkcji rolnej Stanów Zjednoczonych jest skupywana przez spółdzielnie. Stosunkowo nieskomplikowany proces zamrażania i suszenia będzie miał wielki wpływ na rozwój spółdzielni wiejskich. Nowe metody w tej dziedzinie pozwalają na zdecentralizowane przetwarzania produktów żywnościowych, co w konsekwencji przyczyni się do wzrostu dochodów farmerów.

Spółdzielnie, zajmujące się zaopatrzeniem rolników, wykazują tendencje rozwojowe zarówno w dziedzinie świadczenia usług, jak i wytwarzania środków produkcyjnych. Farmerzy stali się za pośrednictwem swoich organizacji regionalnych właścicielami szeregu fabryk, które służą wyłącznie zaspokojeniu własnych potrzeb. Zarządzane przez spółdzielnie fabryki nie produkują co prawda taniej, niż zakłady innego typu, natomiast w dziedzinie rozdziału gotowych wyrobów osiągnięto znaczne oszczędności. Przystąpienie do produkcji traktorów i maszyn rolniczych było zasadniczym krokiem na drodze do rozwiązania podstawowego problemu. Spółdzielnie coraz silniej zagrażają monopolowi przemysłowemu w produkcji maszyn rolniczych. Rolnicy udowodnili już, że są zdecydowani i że umieją fabrykować maszyny dla siebie. Tak np. zamożniejsi farmerzy Stanów Zjednoczonych i Kanady są właścicielami fabryki traktorów w stanie Indiana. Jest to fakt, który będzie miał decydujące znaczenie dla rolnictwa amerykańskiego.

W miarę, jak rolnik amerykański uświadamia sobie, że wydaje 50 procent swojego dochodu na żywność, odzież i inne dobra konsumcyjne, rośnie jego zainteresowanie dla spółdzielni spożywczych. Szereg spółdzielni rolniczych wprowadziło dział spożywczy, ale większość nie uczyniła tego. Możliwości rozwojowe są jednak olbrzymie. Rozszerzenie działalności spółdzielni wiejskich przyczyni się również do rozwoju miejskich spółdzielni spożywczych, które nie nadążają za tempem rozrostu kooperatyw rolnych. Postępy są powolne, chociaż wolno przypuszczać, że w następnym dziesięcioleciu liczba spółdzielców się podwoi. Realistyczna obserwacja poszczególnych typów spółdzielni uczy, że np. nowozałożone osiedla nadają się szczególnie dobrze do utworzenia nowych spółdzielni. Podobnie ma się sprawa z osiedlami podmiejskimi, budowanymi po wojnie z wielkim rozmachem.

Podniesienie liczby spółdzielców miejskich jest naczelnym zadaniem amerykańskiego ruchu spółdzielczego. Związki zawodowe interesują się żywo tym zagadnieniem. Związek robotników automobilowych (UOW), należący do Kongresu Związków Przemysłowych (C.I.O.), utworzył specjalny wydział spółdzielczy, który bada możliwości utworzenia spółdzielni przy poszczególnych oddziałach związku. Druga organizacja robotnicza, Amerykańska Federacja Pracy (A.F. of L.), postanowiła na zjeździe w 1944 r. utworzenie wydziału spółdzielni spożywczych, który ma propagować ideę spółdzielczą wśród członków związku.

Obok tych podstawowych typów spółdzielni, istnieją również spółdzielnie pracy, które świadczą milionom mieszkańców wsi i miast usługi, poczynając od zabiegów fryzjerskich, a kończąc na urządzeniu pogrzebu. Różnorodność ta dowodzi dobitnie, że spółdzielnie mogą się przystosować do potrzeb szerokich mas drobnych konsumentów.

W 20 stanach działają spółdzielnie asekuracyjne. Możliwości rozwojowe, szczególnie na polu opieki lekarskiej, są znaczne. Również spółdzielnie elektryczne rozwijają się dobrze. Rozrosły się na tyle, że mogły wywrzeć wpływ na tendencje do upaństwowienia prywatnych zakładów energetycznych. W 1935 r. rząd Stanów Zjednoczonych stworzył rolniczą administrację elektryczną, dla elektryfikacji wsi. Dzięki temu posunięciu 825 spółdzielczych elektrowni wiejskich mogło zaopatrzyć swoich odbiorców w tańszy prąd.

Wreszcie spółdzielnie kredytowe liczą 3 miliony członków i mają ponad 250 milionów dolarów wkładów.

Wywiera się obecnie pewien nacisk, aby spółdzielnie utworzyły, obejmujące całe państwo, związki celowe. Taka ogólnokrajowa organizacja jest niewątpliwie pożądana, należy jednak wątpić, czy powstanie w bliskiej przyszłości.

Spółdzielnie wpłynęły na poważne zespolenie się wielu tysięcy gmin w Stanach Zjednoczonych. W próżni indywidualistycznego 20-go stulecia stworzyły dynamiczne grupy. Dały jednostce poczucie przynależności grupowej i posiadania. Przyczyniły się do wciągnięcia milionów obywateli w orbitę zagadnień społecznych i gospodarczych.

My, Amerykanie, chcemy zachować demokrację i jej walory. Ale demokracja nie jest jakimś statycznym ciałem, które może istnieć wiecznie. Jest pewnym zjawiskiem, wymagającym stałej i celowej współpracy. Istnienie wielu tysięcy organizacji spółdzielczych w całych Stanach Zjednoczonych, zrzeszając ludzi, wyznających i stosujących demokrację, dobrze się zasłużyło narodowi. Spółdzielcy tworzą odpowiedzialnych obywateli.

Wprawdzie spółdzielnie, zgodnie ze swą tradycyjną zasadą, nie mieszają się do polityki, nie wyklucza to jednak politycznej aktywności w sprawach interesujących spółdzielczość. Tak np. powstał Narodowy Związek Spółdzielczy, który ma na celu obronę interesów spółdzielni wiejskich przeciwko niekorzystnym zmianom obowiązujących ustaw. Spółdzielnie muszą być w każdej chwili gotowe do walki na gruncie ustawodawczym.

Rada Narodowa Spółdzielni Rolniczych jest najsilniejszą reprezentacją spółdzielczości na terenie Waszyngtonu. Jeżeli ekspansja spółdzielni rolniczych nie zostanie zahamowana, to Rada Narodowa stanie się najsilniejszym i najbardziej wpływowym rzecznikiem rolnictwa amerykańskiego.

Interesy spółdzielni spożywczych reprezentuje w Waszyngtonie Liga Spółdzielcza. Ale dopiero, gdy spożywcy masowo wstąpią w szeregi spółdzielców, będzie ona mogła bronić ich interesów w sposób skuteczny.

Przed wojną istniał międzynarodowy handel spółdzielczy. W jego ramach spółdzielcy europejscy importowali ze Stanów Zjednoczonych towary wartości 30 milionów dolarów rocznie. Amerykańskie spółdzielnie, które wyszły wzmocnione z tej wojny, pragną przeznaczyć część swojej produkcji dla międzynarodowego handlu spółdzielczego.

W styczniu 1944 roku przedstawiciele 22 narodów, zebrani w Waszyngtonie na konferencji dla odbudowy międzynarodowej spółdzielczości postanowili utworzyć międzynarodowe spółdzielcze stowarzyszenie handlowe i wytwórcze, które ułatwiłoby wymianę żywności i nafty. Artykuły i narzędzia rolne mają być włączone, gdy tylko to będzie możliwe. Można przypuszczać, że zainteresowanie amerykańskich spółdzielców dla międzynarodowej wymiany będzie stale rosło.

Spółdzielnie są ostoją demokracji, zdrowym elementem w życiu społecznym i gospodarczym Ameryki. Dlatego też odegrają poważną rolę w nadaniu nowego oblicza demokracji Stanów Zjednoczonych i odbudowie całego świata.

(Streszczenie artykułu umieszczonego w „*Antioch Review*)

DAR MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU SPÓŁDZIELCÓW



Prezes I. Żerkowski oraz kierownik Okr. Zw. Rew. Oksiuła (z lewej) wręczają wagi przedstawicielowi Spółdzielni R. Cyprysiakowi.

W lokalu „Społem" przy ul. Stawki odbyło się uroczyste wręczenie spółdzielniom warszawskim 60 wag uchylnych.

Jest to część darów Międzynarodowego Związku Spółdzielców dla Polski. Związek ten rozpoczął zbiórkę darów dla krajów zniszczonych jeszcze w 1943 roku i zebrał w gotówce ok. 400 tysięcy funtów szterlingów na ten cel. Z tego ostatnio dla Polski przyznano 50.000, a zatem więcej, niż dla jakiegokolwiek innego kraju na świecie. Z sumy powyższej S. P. B weźmie 25% w maszynach budowlanych, resztę zaś spółdzielnie, głównie „Społem". Z części tego funduszu zamówiono 100 wag uchylnych w Szwecji 200 w Lublinie. Polska fabryka prędzej się wywiązała z zamówienia niż zagraniczna. Wspomniana uroczystość miała za przedmiot rozdział przypadających dla Warszawy wag produkcji krajowej.

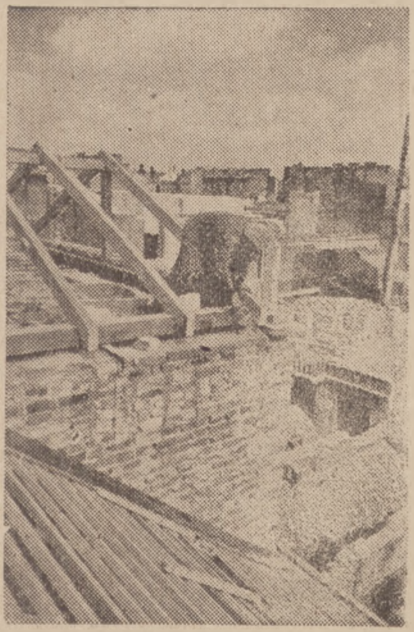
W przemówieniu ob. prezes Żerkowski podkreślił znaczenie jedności spółdzielców na całym świecie, czego symbolem jest obecny dar i wyraził wdzięczność zniszczonego kraju dla bratnich organizacji państw całego świata.

Dla Spółdzielni Warzawa - Śródmieście przypadło 12 wag, dla Warszawy Południe — 10, Warzawy-Zachodniej— 6, Warszawy - Północ —7, Pragi - Północ — 8, Pragi - Południe —12 i Warszawskiej „Spółdzielni Kolejarzy — 5,

Oprócz wag zamówiono jeszcze z tegoż funduszu 80 kas rejestrujących ręcznych i 20 kas elektrycznych. Tego rodzaju sprzętu najwięcej brakuje spółdzielniom.

Film TYGODNIA

Wiosna i odbudowa





Z nastaniem ciepła na dachach Nowego Światu robotnicy rozpoczęli prac

Helgoland zniszczony



Fortyfikacje wyspy Helgoland, położonej na morzu Północnym na przeciwko ujścia Łaby, zostały zniszczone. Zadaniem tym została obciążona flota brytyjska, która użyła tysięcy ton materiałów wybuchowych, by zniszczyć wszystkie przystanie łodzi podwodnych, umocnienia artyleryjskie, oraz 14 mil tuneli, gdzie znajdowały się składy amunicji i żywności, a który dawniej służył jako schron dla garnizonu, stacjonowanego tutaj przez niemieckie naczelne dowództwo.

Helgoland stanowił posiadłość brytyjską od 1807 do 1890 r., kiedy to został odstąpiony Niemcom za Ugandę i Zanzibar.

Niemieckie umocnienia, zbudowane przed wojną 1914 r., zostały zniszczone na mocy traktatu wersalskiego. Wyspa miała wtedy krótki okres rozwoju jako miejscowość wypoczynkowa.

Po r. 1930 Helgoland został przez Hitlera ufortyfikowany w sposób najbardziej nowoczesny.•

NA ZDJĘCIU; Niemieccy marynarze wtaczają torpedy do wejścia do jednego z tuneli Helgolandu w toku przygotowań do jego zniszczenia.

Rozrasta się sieć sklepów spółdzielczych w Warszawie

Liczba sklepów spółdzielczych w Warszawie dobiega już 300. Sklepy te dzielą się na poszczególne branże. Są sklepy spożywcze, włókiennicze, mydlarskie, gospodarstwa domowego, nabiałowe i t.p.

20 b.m. otwarty został wielki reprezentacyjny sklep włókienniczy przy Al. Sikorskiego 7, zbudowany przez Federację Warszawskich Spółdzielni Spożywców. W otwarciu wzięli udział przedstawiciele centrali „Społem", Zw. Rewizyjnego Spółdzielni R.P., B.G.S.-u, oraz poszczególnych spółdzielni.



Pierwszy klient dyr. B. G. S-u — Wróblewski

Prezes Zarządu Federacji ob. Swierkosz, inaugurując uroczystość podkreślił, iż **fakt otwarcia największego w stolicy** sklepu włókienniczego przez spółdzielczość — jest wielkim sukcesem. Warszawa, zniszczona przez wroga, musi budować wszystko od fundamentów. Wysiłek przeto włożony w odbudowę spółdzielczości warszawskiej jest godny największej pochwały. Na zakończenie ob. Swierkosz podziękował Zarządowi „Społem", dzięki pomocy którego powstała nowa placówka spółdzielcza.

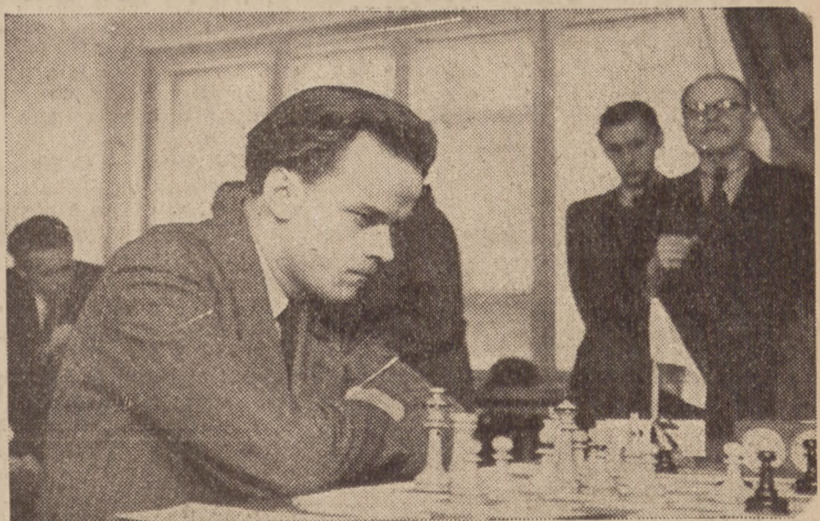
Z kolei dyr. Działu Włókienniczego „Społem" ob. Zawadzki zaznaczył, że jeden z najmłodszych działów „Społem" — Włókienniczy, rozwija obecnie ożywioną działalność. Rozwój działu włókienniczego ilustrują najlepiej cyfry: istnieje już 14 Włókienniczych Oddziałów Wojewódzkich, ponad 300 powiatowych, ponad 1000 specjalnych sklepów włókienniczych oraz 6000 działów włókienniczych przy spółdzielniach wiejskich.

Przemówienia wygłosili poza tym: przedstawiciel B.G.S.-u dyr. Wróblewski, Związku Rewizyjnego dyr. Poźniak, prezes Godycki i inni.

Jak otwarcie nowego sklepu spółdzielczego włókienniczego było potrzebne, dowodzi fakt, iż w pierwszym dniu około 1000 osób zaopatrzyło się w towary włókiennicze, sprowadzone przez Federację w ramach specjalnej akcji interwencyjnej na rynku warszawskim.

Po rozpoczęciu akcji interwencyjnej **przez spółdzielnie warszawskie, na ogół** towary włókiennicze w Warszawie spadły w cenie o 20 proc.

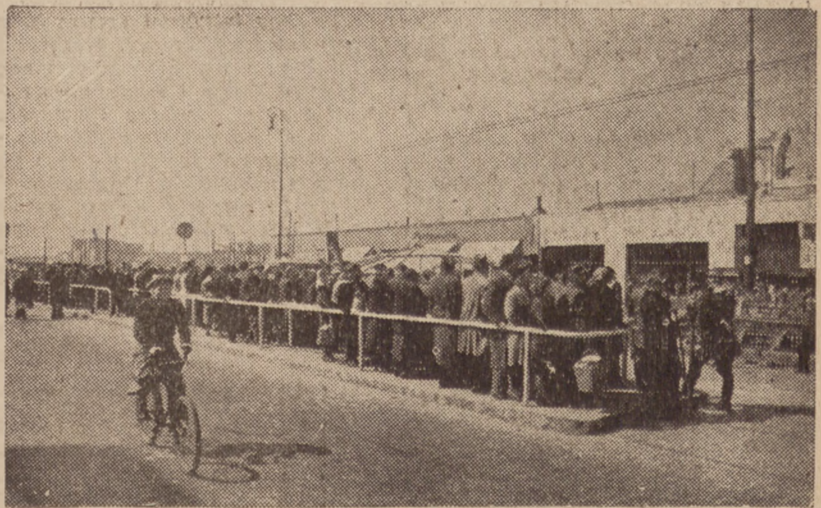
Międzynarodowy turniej szachowy w Warszawie



Mistrz Czechosłowacji Pachmann gra z Polakiem Flaterem



Reprezentacyjny sklep spółdzielczy przy Al. Sikorskiego 7.



Warszawiacy z humorem korzystają z „labiryntu" wsiadając do tramwaju Nr 25 na Pragę

Witold Warkallo

MAURYCY BENIOWSKI

I JEGO POTOMKOWIE Z WĘGIER

Nazwisko Beniowski, chlubnie znane z historii polskich walk o wolność rozsławione arcydziełem poetyckim Słowackiego, uchodzi u nas — i słusznie — za czysto polskie, jakkolwiek i Węgrzy i Słowacy chętnie przyznają się do bohatera Kamczatki i Madagaskaru. Faktem historycznym jest, że Maurycy Beniowski, dowódca jazdy Konfederacji Barskiej, przelewał krew swą za ideę wolności Polski, za tę ideę cierpiał, zesłany przez Katarzynę II na Kamczatkę, że wreszcie jego statek pod polską flagą opłynął wybrzeża Azji Wschodniej. Ale losy tego niespokojnego żywota i historia jego rodu daleko wybiegają poza ramy polskich dziejów.

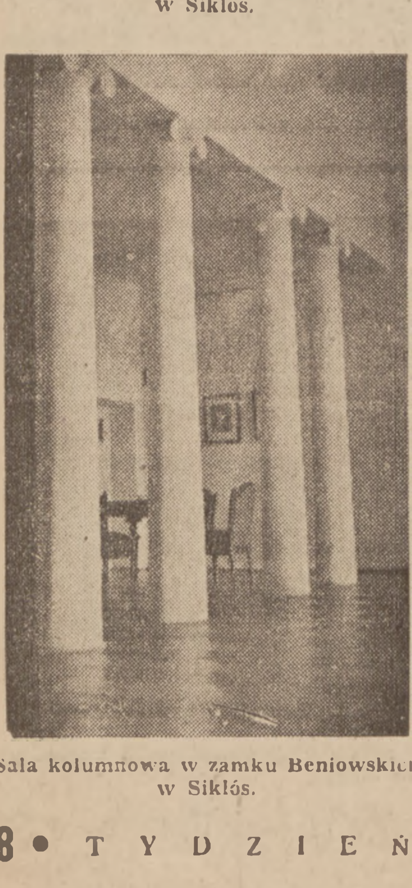
GENEALOGIA

Węgierscy genealogowie wywodzą ród Beniowskich od Bana Michka, żyjącego za czasów trzeciego króla węgierskiego z dynastii Arpadów, Aby Samuela (1041—1044). Potomkowie Bana Michka (słowo „ban" pochodzi od słowiańskiego „pan" i stanowiło na Węgrzech tytuł wielkorządców, zastępców króla) występują w późniejszych dziejach Węgier pod nazwiskiem Vaghy. Zamieszani w sprzysiężenie Zacha Felicjana przeciwko Karolowi Robertowi, założycielowi dynastii andegaweńskiej na tronie węgierskim (1288—1342) i skazani na banicję, uciekają około 1330 r. do Polski. Z końcem XIV w. (około r. 1396), a więc conajmniej po dwóch, trzech generacjach przybywa do Polski na Węgry dwóch braci, Benjamin i Urban, którzy zdobywają sobie sławę w wojnie przeciwko Turkom i obdarzeni przez króla Zygmunta dobrami i szlachectwem (w r. 1423) pozostają na Węgrzech. Nie powracają oni jednak do nazwiska starożytnego rodu Vaghów, od których się rzekomo wywodzą, a nadają początek dwóm nowym (o czterysta lat młodszym) rodom: Beniowskich i Urbanowskich.

W rodzie Beniowskich, jakkolwiek już od początku XV w. na Węgrzech stale osiadłym, tradycje polskie nigdy nie wyginęły. W dużym stopniu przyczyniło się do tego zapewne odnawianie związków z Polską przez małżeństwa z Polakami. Tablice genealogiczne Beniowskich wykazują ich pokrewieństwa po kądzieli z szeregiem rodzin polskich: Kłobusickich, Nedeckich, Frywaldskich, Sądeckich i wielu innych. Szczególnie charakterystyczne jest to w linii Jerzego Beniowskiego, noszącego polski przydomek „Zajączka", syna Buriana i Salomony Hrabowskiej, ożenionego z Fruziną Urbanowską, z której pochodzi słynny Maurycy Beniowski — i szereg Beniowskich do dziś żyjących na Węgrzech. Syn Jerzego — Michał poślubia Marię Pater (recte Pozar), a syn jego Paweł — Marię Szujowską. Z małżeństwa tego rodzi się Samuel, ojciec Maurycego Beniowskiego.



Dziedziniec zamku Beniowskich w Siklós.



Sala kolumnowa w zamku Beniowskich w Siklós.

MŁODOŚĆ

Maurycy Beniowski, który w ciągu swego krótkiego, bo zaledwie 45 lat trwającego żywota, zdobył sobie w trzech częściach świata nieśmiertelną sławę bohaterskiego żołnierza, utalentowanego wodza i organizatora, śmiałego podróżnika i szczęśliwego żeglarza, a niezwykłością swych przygód, wielkością stawianych sobie celów, rozległością horyzontów i genialną wszechstronnością talentów odsunął w cień najgłośniejszych, romantycznych bohaterów schyłku XVIII w. — Cagliostra, Casanowę, Trencka, Saint-Pierre'a, urodził się w r. 1741, w wiosce Verbove, w komitacie Nyitra północnych Węgier.

Jako syn generała kawalerii Samuela i Rozalii z Revay'ów. Idąc śladami ojca już w 14-tym roku życia wstępuje do armii austriackiej, bierze udział w wojnie 7-letniej i wyróżnia w bitwach pod Pragą i Świdnicą. Po odbyciu kampanii przeciwko Prusakom udaje się do Polski w sprawach rodzinnych. Na wieść o śmierci ojca wraca na Węgry, gdzie w międzyczasie jego siostry przyrodnie zagarnęły dziedzictwo. Chciwi krewni, korzystając z tego, że Maurycy usiłował siłą odzyskać spadek, oskarżyli go przed Marią Teresą i uniemożliwiając mu wytłumaczenie się przy dworze, uzyskiwali przeciwko niemu wyroki i poparcie monarchini.

Zrażony intrygami krewnych, zniechęcony niepowodzeniami, rozgoryczony na habsburską niewdzięczność, Maurycy opuszcza Węgry i udaje się na Zachód, pędzony żądzą wiedzy i przygód. Wiadomo o jego pobycie w Hamburgu, Amsterdamie i Plymouth i o jego gruntownych studiach sztuki żeglarskiej, które ogromnie przydały się w późniejszych podróżach. Znalezione niedawno w paryskich archiwach rękopisy Beniowskiego — zdumiewające trafnością myśli rozprawy na tematy ekonomiczne — świadczą o poważnych studiach w tym kierunku.

KONFEDERAT BARSKI

W roku 1767 Beniowski organizuje wyprawę do Indii Wschodnich, gdy otrzymuje z Polski wezwanie do wzięcia udziału w tworzącej się podówczas Konfederacji Barskiej. Samo wezwanie Beniowskiego do akcji orężnej patriotów polskich, a w jeszcze większym stopniu fakt, że porzucając swe ambitne plany dalekiej wyprawy morskiej, bez wahania oddaje się on im do dyspozycji, świadczą wymownie o tym, jak ściśle związany był z Polską.

W drodze powrotnej odwiedza Węgry i tu po chorobie, z której wyleczył się w domu Hoenschów, poślubia Zuzannę Hoensch. Na wieść o wybuchu wojny o niepodległość pozostawia młodą żonę u teścia i śpieszy do Krakowa, wyróżniwszy się swą brawurą i talentami strategicznymi, wkrótce obejmuje dowództwo jazdy Konfederacji Barskiej. Dwukrotnie dostaje się do niewoli, ale za każdym razem udaje mu się uzyskać wolność.

Wreszcie, w nieszczęśliwej dla Polaków bitwie pod wioską Szuką ponosi klęskę i z 17-oma ranami dostaje się po raz trzeci do niewoli. Jako jeńca wywożą go do Kazania, potem do Petersburga, a po stwierdzeniu, że Beniowski usiłował w Rosji zorganizować spisek przeciwko carycy, jako szczególnie niebezpiecznego zsyłają na Kamczatkę. W drodze na Kamczatkę Beniowski ratuje podczas burzy od zatonięcia statek, transportujący zesłańców, i ta okoliczność, w związku z jego mistrzostwem w grze w szachy zdobywa mu względy gubernatora Kamczatki Nilowa, który z czasem powierza mu kształcenie swych dzieci, przyjmuje plany Beniowskiego zbudowania szkoły publicznej i kolonizacji rolniczej południowej Kamczatki przez zesłańców.

W końcu Nilow przywraca mu wolność, przyrzeka mu rękę swej córki Afanazji i otwiera perspektywy kariery w służbie carskiej. Beniowski, który już wcześniej zorganizował sprzysiężenie wśród zesłańców, wierny słowu, danemu współtowarzyszom niedoli, pomimo to, że ci podejrzewają go o zdradę, myśli tylko o oswobodzeniu ich z niewoli. Doskonale przez niego przygotowane powstanie wybucha z początkiem maja 1771 i po rozbiciu oraz rozbrojeniu garnizonu i zdobyciu twierdzy Bozceresk staje się Beniowski panem Kamczatki. Pomimo to, wierny pierwotnemu planowi ucieczki, w dniu 11 maja 1771 na statku „św. Piotr i Paweł", pod polską flagą, z 96-oma oswobodzonymi towarzyszami i z Afanazją, przebraną w męski strój, odbija jako zwycięzca od brzegów Kamczatki.

W czasie swej pełnej przygód żeglugi zawija do portów dotąd niedostępnych dla Europejczyków i kończy pierwszy etap swej podróży wzdłuż wschodnich wybrzeży Azji i wysp japońskich w porcie Macao, gdzie umiera Afanazja i wielu z jego towarzyszy.

Następnie na francuskim już statku płynie starym szlakiem Vasco de Gamy wzdłuż wybrzeży Afryki do Europy, ląduje we Francji, gdzie udaje mu się pozyskać poparcie rządu francuskiego dla planu założenia kolonii na wyspie Madagaskar.

NA MADAGASKARZE

W czerwcu 1774 przybywa Beniowski wraz ze swą z Węgier przybyłą żoną na Madagaskar, zakłada u ujścia rzeki Tingballe miasto Louisbourg, buduje szereg fortów i w ciągu dwóch lat nie tylko rozciąga swą władzę na tę bezmała 600.000 km kw. liczącą wyspę, ale nawet zostaje wybrany królem przez jej główne szczepy.

Nie było jednak Beniowskiemu dane założyć polską dynastię na Madagaskarze! Nie tyle zamiar uzyskania zatwierdzenia swego tytułu przez Francję i chęć uzyskania jej poparcia dla nowego państwa, ile niespokojny, żądny przygód duch jego pędzi go w 1776 r. do Europy. Gdy we Francji nie znajduje zrozumienia dla swych rozległych planów kolonialnych, a naraża się tylko na zawiść i prześladowania, zwraca się do Marii Teresy, która cofa krzywdzące go dekrety, przywraca do łask, oddaje mu dowództwo wojsk siedmiogrodzkich.

Beniowski dowodzi wojskami austriackimi w zwycięskiej dla nich bitwie z Prusakami pod Habelschwerdt, ale po pokoju w Cieszynie znów powraca do swych madagaskarskich planów. Gdy



Maurycy Beniowski, konfederat barski, „Król" Madagaskaru.

Józef II odmawia mu poparcia, opuszcza kraj wraz z rodziną, jedzie do Francji, potem do Anglii, wreszcie płynie do Ameryki, gdzie w Baltimore zawiera z tamtejszym domem handlowym umowę w sprawie sfinansowania nowej wyprawy na Madagaskar.

W październiku 1784 wyrusza na pokładzie statku „Interpid" na podbój Madagaskaru. Z właściwą sobie energią przystępuje do akcji i gromadzi siły, ale pozbawiony poparcia Amerykanów (statek zdradziecko odpłynął, pozostawiając go z garstką wiernych mu żołnierzy na łaskę losu, bez jakiegokolwiek poparcia z zewnątrz), atakowany przez oddziały kolonialne francuskie, przysłane z pobliskiej wyspy Mauritius, nie może się utrzymać i pada w nierównej walce, w dniu 23 maja 1786 r., od francuskiej kuli.

SŁAWA POŚMIERTNA

Beniowski, haniebnie zdradzony przez kupców z Baltimore, opuszczony przez swych poddanych król Madagaskaru, poniósł sromotną klęskę i śmiertelnie raniony w pierś, ciągniony za włosy po szańcach, w których bronił się z dwoma do końca mu wiernymi żołnierzami, wyzionął ducha na dalekim Madagaskarze, ale sława jego rosła z roku na rok.

Już w roku 1790 wychodzą jego pamiętniki w języku angielskim, wkrótce przetłumaczone na język francuski, holenderski i niemiecki. Kotzebue już w pięć lat po jego śmierci wydaje poświęcony mu dramat: „Sprzysiężenie na Kamczatce", Franciszek Doppler poświęca mu operę, Słowacki — jedno z największych arcydzieł poetyckich polskiej literatury, a poczynając od pierwszych opracowań powieściowych jego bogatego życia Muhlbeck Luizy i Gvadanyi Józefa (z 1763) coraz to nowi autorzy poświęcają mu mniej lub więcej udane utwory i ciągle jeszcze odnajdują się nieznane dane i szczegóły, rzucające nowe światło na życie i indywidualność tego niepospolitego człowieka.

POTOMKOWIE

Fakt, że Beniowski nie pozostawił po sobie męskich potomków spowodował rozpowszechnienie się opinii, że ród bohatera Kamczatki i Madagaskaru wyginął. Opinia ta polega na błędzie i autor niniejszego artykułu miał sposobność odnaleźć na Węgrzech potomków Maurycego Beniowskiego w prostej linii, jego pra-pra-wnuków, noszących nazwisko Beniowskich, a jeden z nich nawet i imię Maurycego, którzy z pietyzmem przechowują tradycję sławnego ich przodka. Na ścianie pokoju sypialnego, 22 lata dziś liczącego, nieźle po polsku mówiącego, Maurycego Beniowskiego w kastely-u węgierskiej wioski Zalacsany znalazłem stary sztych, przedstawiający Maurycego Beniowskiego, króla Madagaskaru, w konfederatce i przy karabeli, a na półce, nad łóżkiem, wśród ulubionych książek „Memoirs and travels of Mauritius Augustus count de Beniowski", wydane w 1790 r. w Londynie, przez Michelsona.

(ciąg dalszy na str. 15)

Jan Huszcza

POKÓJ *przy* LUBARTOWSKIEJ

Pozwól, szanowny czytelniku, że bez dłuższych ceregieli od razu wszystkich przedstawię: ten łysy muzykant to Bolek, a następni — to poeta Jurek, profesor Ludwiczek, bliżej niedający się określić, jeśli chodzi o zawód i powołanie, Onufry Tymianka, wreszcie zdolny architekt Zbyszek, którym, powiedzmy, byłem ja sam. Do tego kompletu należy dodać jeszcze pięciu buchalterów, których wymienianie zbyt wiele zajęłoby czasu.

Poza tym w ogóle jestem tego zdania, iż nazwiska, miejsce urodzenia, znaki szczególne, imiona rodziców chrzestnych, środki utrzymania, fotografie, załączniki i rejestry, zaświadczenia z ostatniego miejsca pobytu, życiorysy, ze szczególnym uwzględnieniem okresu okupacji — wszystko to nie jest potrzebne, gdyż wcale nie chodzi tu o otrzymanie ulgowych przejazdów tramwajami, nie chodzi także o napisanie powieści realistycznej według recept, zalecanych przez współczesne nam, modne pisma literackie.

To, co piszę, ma być bowiem skromną i bezpretensjonalną, w miarę jeno przesadzoną opowieścią o warunkach mieszkaniowych, w jakich znaleźliśmy się w Lublinie zimą 1944 na 1945 rok.

Historyczna ta zima należała — podobnie jak i poprzednia do łagodnych; odwilże często dziurkowały śnieg, niektóre z drzew zachowały nawet zeschłe liście, ale mimo to trzeba było mieć dach nad głową, według posiadanych bowiem przez nas informacji nawet i w słonecznej Italii nie mieszkają ludzie w namiotach, ni tym bardziej w cieniu drzew pomarańczowych

Cóż, kiedy to był już okres, w którym urzędy mieszkaniowe, wprowadzające, jak wiadomo, z większym powodzeniem chaos w gospodarkę mieszkaniami, należycie okrzepły i otrzymanie najmniejszego skrawka pokoju należało do rzeczy równie niemożliwych, jak np. przekonanie przeciętnego mieszkańca Rzeszowa o tym, że minister, zwłaszcza emerytowany, może być tak samo nieciekawym człowiekiem, jak i on, przeciętny mieszkaniec Rzeszowa, zajmujący w swoim rodzinnym mieście stanowisko referenta wydziału rejestracji drzewek owocowych.

Początkowo radziliśmy sobie najrozmaiciej, nigdy właściwie aż do nadejścia szybkiego zmierzchu, nie wiedząc, gdzie złożymy na nocny spoczynek nasze głowy, pełne ambitnych planów na przyszłość.

Najszczęśliwiej złożyło się dla Onufrego. Uległ atakowi ślepej kiszki i trafił na trzy tygodnie do szpitala. Ja z Bolkiem próbowałem także dostać ataku ślepej kiszki, ale bezskutecznie. Rujnowaliśmy się na rogowe grzebienie i połykaliśmy je jako roztwór, jednak kiszki nasze, psiakrew, zachowywały się najprzykładniej.

Wtedy zawiedzeni udawaliśmy się zazwyczaj do pewnego urzędu. Na miejscu oświadczaliśmy woźnemu, iż mamy pilną sprawę jutro z rana do załatwienia, a przyjechaliśmy zdaleka i wolimy stąd się już nie wydalać.

Woźny, w przeciwieństwie do swoich demokratycznych przełożonych, doskonale nas rozumiał i zgadzał się. Ale pewnego dnia w poczekalni znalazła się prawie setka podobnych interesantów i znowu byliśmy zmuszeni do szukania innych możliwości.

Udawaliśmy np. pijanych i szliśmy, zataczając się, po godzinie policyjnej Krakowskim Przedmieściem w nadziei, że zostaniemy zatrzymani i odprowadzeni na przymusowy nocleg. Ale wartujący żołnierze należeli do ludzi przebiegłych. Taki jeden z drugim zatrzymał nas i od razu pod włos.

— A no chuchnijcie, obywatele...

A nam, ma się rozumieć, ziała z ust stołówkowa grochówka, przedwczoraj zjedzony barszcz, jakieś przegniłe zraziki, pieczeń rzymska, sporządzona po lubelsku z kartofli, i wszystko inne, tylko nie bimber. Skrądże, na bimber rzadko zdobywaliśmy pieniądze, gdyż nikt z towarzystwa nie umiał spekulować.

Puszczano więc nas wolno i znowu szliśmy pod schody do Ludwiczka, który z trzech, wyrwanych z parkanu desek zaimprowizował tam pryczę i spał. Cierpliwie czekaliśmy na swoją kolejkę, skracając czas dyskusjami na temat kartezjanizmu, teatru konstruktywnie pojętego, wielkiej metafory w utworach małej formy itd.

Równolegle z tym wszystkim trwały poszukiwania pokoju, chociaż mało mieliśmy wiary w ich skuteczność. Równocześnie dobrze jak na znalezienie pokoju można było czekać przy którejś z lubelskich ulic na tramwaj, jak wiadomo bowiem, to piękne miasto o zabytkowych murach tego rodzaju udogodnień nie posiada.

A jednak drągalowaty Tymianka, który w międzyczasie ku swemu wielkiemu żalowi wykurował się, przechodząc operację wycięcia wyrostka robaczkowego i musiał opuścić szpital — przyniósł niespodziewanie wiadomość o pokoju.

— Jest pokój! — wołał przez długość Placu Litewskiego, gdyśmy, udając, że nic nas nie obchodzi mróz, siedzieli na ławeczce zasłuchani w melodie płynące z głośnika bodajże jedynego, jakim w owym czasie dysponowało Polskie Radio.



(Ilustr. Ignacy Witz)

— Co, gdzie i jak? — zerwaliśmy się, zgodnie z konwencjami narracyjnymi, na równe nogi.

— Przy Lubartowskiej, u wdowy... pani Grzegorczykowej... — raportował Tymianka.

Kiedy jednak wszyscy — nie wyłączając pięciu buchalterów, których wyliczanie zajęłoby zbyt wiele czasu — padliśmy sobie w objęcia, okazało się, że na radość cokolwiek zawcześnie. Pokój, owszem, był, ale mieszkał w nim jakiś starowina, pono ex-nauczyciel gimnastyki. Nie tyle mieszkał, co od dłuższego czasu leżał złożony niemocą, która to niemoc dawała nadzieję, że nauczyciel - gimnastyk lada dzień może opuścić ten padół trudności mieszkaniowych.

Mimo to, wiadomość Tymianki wszystkich nas zelektryzowała i napełniła słodką otuchą.

Odtąd codzień po kilka razy pędziliśmy na Lubartowską.

— Jak zdrowie szanownego profesora? — rzucaliśmy jeszcze w drzwiach.

— Trochę mu lepiej — stwierdzała Grzegorczykowa.

— Dzięki Bogu! — mówiliśmy i z ciężkim westchnieniem zawracaliśmy z powrotem.

Odpowiedzi pani Grzegorczykowej zawsze wyczerpywały się w tych słowach: „trochę mu lepiej".

Po upływie kilkunastu dni, mając na uwadze te odpowiedzi, byliśmy pewni, że staruszek całkiem wydobrzał i gremialnie poszliśmy, żeby mu pogratulować.

Na ciemnych schodach spotkaliśmy jednak panią Grzegorczykową, wracającą właśnie z pogrzebu swego lokatora.

Po omówieniu warunków, mogliśmy się wprowadzać wszyscy, to znaczy Zbyszek, Bolek, Jurek, Ludwiczek, Onufry Tymianka i buchalterzy (których wyliczanie zajęłoby zbyt wiele czasu).

Odtąd nabrałem przekonania, że jeśli o kimś co dzień mówią, że mu lepiej, to dni jego są policzone na palcach prawie jednej ręki.

Ponieważ nareszcie ziściło się nasze marzenie o pokoju, przeto marzeniu temu wypada poświęcić kilka słów.

Pokój - marzenie nie był za wielki. Było nas dziesięciu, więc na jedną jednostkę statystyczną przypadały dwa metry kwadratowe podłogi.

Teraz należało rozstrzygnąć kwestię, w jaki sposób, nie wywołując w przyszłości zadrażnień, mamy z tego pokoju korzystać.

Stanęło na tym, iż kredą pokratkowaliśmy podłogę, każdemu sprawiedliwie przyznając jedno z pól tej szachownicy. Było losowanie. Na wylosowanym polu każdy poskładał co miał i na co go było stać: architekt Zbyszek — maszynkę do golenia i pięć roczników pisma „Architektura wnętrza", muzykant Bolek — waltornię, Jurek — żyletki, rękopisy i nocnik fajansowy, który mu służył jako cukierniczka, prof. Ludwik — poduszkę, materac i części damskiej garderoby, które nie wiem dlaczego dostał w R.G.O., Onufry Tymianka zaś — maszynę do pisania, ale bez klawiatury i pudło zepsutego aparatu telefonicznego (ostatni nosił się z zamiarem założenia biura... melioracji rolnej). Piątka (której wymienianie zbyt wiele zajęłoby czasu) także rozłożyła swój dobytek.

Pierwsze dwie noce w pokoju przeszły spokojnie Każdy myślał o tym, żeby możliwie najwygodniej (np. na rocznikach „Architektury wnętrza") wypocząć po tułaczce.

Ale przyszedł przecież czas, żeby jakoś się urządzić, znaleźć odpowiednią pracę i dać ze siebie maksimum społeczeństwa.

Najłatwiej znaleźli zatrudnienie buchalterzy. Pomimo, że nie było na tamtych obszarach fabryk papieru, to przecież zostały zapasy poniemieckie i ktoś musiał je upstrzyć atramentowymi znakami, żeby całość wyglądała na dorobek.

Gorzej było z nami, przedstawicielami wolnych zawodów. Poeta Jurek wkrótce jednak wszedł w styczność z jakimiś słuchaczami i tworzył dla nich wiersze.

Gdy Jurek głośno przygotowywał się do recytowania, Bolek zaczynał wieczorne próby na waltorni, Tymianka zabierał się do reperowania swojej maszyny, Ludwiczek gwizdał arie z operetki „Hrabia Luxemburg", a ja próbowałem się uczyć tańca baletowego. Oczywiście, narazie robiliśmy to przede wszystkim sobie na złość.

Wkrótce jednak doszliśmy do przekonania, iż pewne reprezentowane przez nas kwalifikacje — jak muzyka i śpiew, albo architektura i poniekąd melioracja, poparta buchalteryjnymi wyliczeniami — chociaż doskonale uzupełniają się w życiu publicznym, to nie dają się pogodzić w życiu prywatnym, skomasowanym na tak małej przestrzeni, jaką przedstawiał nasz pokój.

Na Jureczka natchnienie nadchodziło zazwyczaj około pierwszej w nocy wstawał, zapalał świecę i pisał, półgłosem organizując swoje zawiłe obrazowanie.

Gdy jeden z pięciu buchalterów (których wymienianie zbyt wiele zająłoby czasu), budząc się ze snu, nieżyczliwie strofował, poeta odparowywał:

— Jestem na swoim półku!

Po kilku minutach budził się Bolek i próbował tonów na waltorni.

Z kolei, budząc się, klątem Bolka, ten jednak spokojnie oświadczał:

— Jestem również u siebie, czyli na soim polu.

Formalnie oczywiście miał rację, jednak gdzieś o czwartej nad ranem zaczynali ujawniać swoje zawodowe powołanie wszyscy i mimo, że każdy to robił na swoim polu, przecież sytuacja była nie do zniesienia i Tymianka bowiem ze swej maszyny do pisania i zepsutego telefonu zmontował jakiś konglomerat, wydający dziwnie przejmujące dźwięki. Jeśli pokusić się o znalezienie porównania, to podobne dźwięki wydawałoby umiejętne połączenie dobrze funkcjonującej młockarni z niemniej dobrze funkcjonującą obrabiarką stali.

Sytuację zaostrzył wypadek, którego sprawcami byli buchalterzy. Któregoś dnia najniewinniej w świecie zwrócili się do grającego jakiegoś marsza defiladowego Bolka:

— Boluś, najdroższy, pożycz nam waltorni!

— A poco?

— Pożycz, najukochańszy, bardzo jej potrzebujemy.

Pożyczył. Dalsze losy waltorni pokrył mrok tajemnicy.

Nie wiadomo, czy wodę w niej nosili z pobliskiej pompy, czy barszcz ukraiński gotowali, dość, że waltornia zaczęła gwałtownie rdzewieć, nie pomogły żadne sidole i wbrew rozpaczliwym wysiłkom Bolka, wszystkie dźwięki zamierały w jej pyzatym wnętrzu, nie mogąc dosięgnąć naszych uszu.

Najskromniejsze nawet złudzenia co do możliwości zgodnego współżycia prysły: tak dalej być nie mogło.

Ponieważ najserdeczniejszą łączność utrzymywałem z profesorem, czyli z Ludwiczkiem, który od czasu do czasu pożyczał mi materaca i poduszki, przeto właśnie z nim postanowiłem odbyć naradę na temat dalszych losów pokoju i jego mieszkańców.

Ze dwie godziny łaziliśmy wśród smukłych brzóz parkowych, gestykulując i szukając sposobów wyjścia z sytuacji.

Żaden jednak nie zalecał się swoją efektywnością, gdy nagle zawołał Ludwik, uprzednio stuknąwszy przez omyłkę swoim palcem w moje czoło:

— Już wiem! Ożenić ich!!!

— Kogo?

Przystanęliśmy na wyślizganej śnieżnej pokrywie ścieżki, a Ludwik szczegółowo tłumaczył:

—W Lublinie podobno masa samotnych kobiet ma własne luksusowe mieszkania, jedyne wyjście, to ożenić najpierw tych pięciu (których szczegółowsze wymienianie zbyt wiele zajęłoby czasu), a potem, kto wie, jeśli dobrze pójdzie, to i innych.

Pomysł Ludwiczka nie należał — jeśli chodzi o oryginalne rozwiązanie niniejszej opowieści — do najszczęśliwszych, natomiast, jeśli chodzi o możliwość pozbycia się męczącego nadmiaru lokatorów, wart był dokonania próby.

Z parku wróciliśmy pełni przedziwnej lekkości, na ustach leżały nam melodyjne słowa ożenić, ożenić, ożenić...

(ciąg dalszy na str. 15)



U POETÓW

Wiersze Aleksandra Rymkiewicza

Kołysanka zimowa

Maleńki mój, syneczku mój, maleńki i różowy,
dokoła domu śnieżny pył i miesiąc płynie szybki,
a mróz ma brodę i ma płaszcz i ogień rubinowy,
a niebo, niebo tylko ma cichutkie, srebrne skrzypki
i na tych skrzypkach w śnieżną noc dla ciebie gra
[na pewno.
„Był sobie król, był sobie paź i była też królewna".

Maleńki mój, syneczku mój, cichutki, ciepły, tkliwy,
to piękny kraj, to śnieżny pył, to światło księżycowe.
Mieszkali tutaj ludzie dwaj, spokojni, sprawiedliwi —
zbito deski, do prostych skrzyń złożyli ciche głowy.
Śnieg to iskry, księżyc to młot, a chmura to kowadło.
„Króla zjadł pies, pazia zjadł kot, królewnę myszka
[zjadła".

Maleńki mój, syneczku mój, w poduszkach śpij
[wygodnie.
Skrzypeczki srebrne, ciemny las, a gwiazdy to korony.
Światełka gasły cichych miast, usnęli ludzie głodni,
a głód ma torbę i ma kij i oczy zaśnieżone.
Nieprawda to, nieprawda to, że ludzi zabijano.
„Z cukru był król, z piernika paź, królewna
[z marcepanu".
(1940 r.)

* * *

O kronikarzu narodu, wojen, łez i goryczy,
Karty twojego dzieła wiatr pogorzelisk targa,
twój wiersz kamieniem umiera na nieprzekupnych
wargach,
a takich cmentarzy poezji ni wieńczyć kwiatami, ni
[zliczyć.

W latach szkła na ulicach i kołyszących się domów
prawdy poznałeś wielkie, jak bliskich osłaniać głowy.
Ileż prostej radości pomieścić mógł stół sosnowy,
gdy plecak otwierał skarby wśród wojny dalekich
[gromów.

I znowu tłumy i miasto, spragniona zarobku dłoń,
Wisła okręca wody w żelazach miejskiego stuku.
— O nieprzytomny, pocóż do kronik swoich szukasz
wrzosów z krainy jezior, dymów z rodzimych stron.

Moja znajoma

Jeżeli poprosi znajoma moja,
do której kiedyś czułem to, co młodość czuje,
gdy księżyc rybak nad rzeką nocuje,
a swoją siecią nie ryby łowi,
z siecią, czy z lirą księżyc przy głowie.

Jeżeli poprosi mnie znajoma taka
o wiersz i myśli, że w tym wierszu wstanie
mgła księżycowa, która las przesłania
i coś dalekie jeszcze, jak lot ptaka.

Bo jej się pewnie i dzisiaj wydaje,
że brzoza za lirą księżyca ucieka
— i nic nie mówi i sama nie wie,
wstecz obrócona słucha i czeka.

Cóż mojej znajomej dziś napisać mogę,
chociaż bywałem kiedyś w tamtych stronach,
gdy tylko pamiętam rozwalony młyn
i ziemię w ciężkich rozchwianych ukłonach.

Drzewa, jak ludzie, z węzłami ruszają,
bo drzew śmiertelny także pochód bywa,
czarnymi kwiatami szeroko wschodzą
pola, gdy stado kraczące się zrywa.

Ciemny dom błyska oknami po deszczu,
a mnie się zdawało, że w ziemię zapada
— i chłodne niebo mielące popioły
i krzyży lecących nad ziemią gromada.

Jest jedna piosenka i dziś ją przypomnę,
bo żegna kogoś smutna napoły,
że pójdzie ktoś górą, a ktoś doliną,
a dalej pewnie musiało być:
księżyce w dolinie, a w górze popioły.
Bo poto kiedyś znajomej mojej
rumieniec i księżyc przesłaniały twarz,
by obrócona stała tak jak stoi
i niech na zmianę wschodzą i zachodzą
rumieniec i księżyc na tej samej twarzy.

Wśród tamtych pól dotknąłem także drogi,
aby poezja na ziemię dziwna zeszła,
jak pierwszy ślad żelaznej nogi
i zachód błyska w nim to ciemny to czerwony,
a za poezją w płomieniach czarnych piór
te lata spadły, które potem jeszcze
długo krzyżami po pustych polach chodzą,
aż załamanie rąk nowe księgi zmieszczą.

List do emigranta

Gdy do Warszawy przybędziesz zza mórz,
z dalekich krajów po ciężkich przygodach
— i będziesz szukał w nadwiślanych chłodach
chmury płynącej nad Zygmunta mieczem,
nie szukaj, mówię — i nie idź na rynek,
bo już te cegły porośnięte mleczem,
z dziur krzywej ściany zwisająca trawa,
nie szukaj, mówię, bo to już Warszawa.

I nieruchomy będziesz długo stał.
Kiedy ja nawet przybysz z innych stron
gdzie są i wzgórza, których tutaj nie ma,
a nad jeziorem pogłaskanym wiatrem
w słonecznych wirach liści kurzawa,
kiedy ja nawet dziecko innych stron
nie uwierzyłem, że to już Warszawa.

Nad rumowiskiem sterczy kikut belki,
dni tamtych świadek i prosta pamiątka.
— Żelaza kawał wskaże ci dokoła,
że już tu martwych przysypano w dołach,
kiedy przybędziesz zza dalekich mórz,
szukając staniesz nieprzytomny prawie
tych, co mieszkali tu kiedyś w Warszawie.

O ty, poznałeś daleki, daleki,
jak się porzuca ziemię, którą kocha,
nad którą księżyc romantyczny nocą,
jak się porzuca ziemię przed przemocą.
— A my zaś w kraju takie dole znamy,
kiedy przybędziesz zza dalekich mórz,
kiedy się słucha łoskotu do bramy
i odchodzących stukotu podkówek.

Więc do Warszawy, gdy przybędziesz znowu,
gdy się spotkamy tu na tych kamieniach,
gdzie kiedyś stały domy, a w ich cieniach
chodziłeś wesół z odsłoniętą głową,
gdy się spotkamy po ciężkich przygodach,
nie szukaj zamku, katedry nie szukaj.
— Jak ja nie szukam jeziora, gdzie wiatr
w błękitnym powietrzu toczy się swobodny,
tak ty nie szukaj pamiętaj co mówię,
tutaj wśród ruin i mleczy i trawy,
bo znajdziesz tylko pył dawnej Warszawy.

Wkrótce nakładem wydawnictwa „Panteon" ukaże się na półkach księgarskich tom poezji Aleksandra Rymkiewicza p. t. „Z narodem". W numerze dzisiejszym drukujemy kilka wierszy z tej książki.

Wielkanoc w kraju

O kraju, kraju nieodłącznych
orężnych, ciężkich sporów,
światłami miast, wstęgami rzek
migasz cieniami borów.

I huk organów wkrąg daleko
lecący od obłoków
i taki żal, jak ciemny ptak
chwiejący się wysoko.

Któż w kraju tym spalonych progów
tak organami błyska,
lawiny salw i armii mogił
niepomny organista.

Już anioł bryłę z grobu toczy,
spójrz: pusty grób — już dnieje.
I tylko wiatr przechodniom w oczy
popiołem ludzkim wieje.

(Opowiadanie historyczne)

KONGRES (VII) WE FLORENCJI

— Wrócisz? — powtarzała — wrócisz?

— No, oczywiście, skoro tak powiedziałem. Nie bądź dzieckiem, Carla!

Ona kocim, zwinnym ruchem przycisnęła mu do piersi pełną kruczych loków głowę. Czuł na wargach jej miękkie, cienkie pukle, pachnące fiołkami. Wydawało mu się zupełnie dostateczne to zapewnienie: „skoro tak powiedziałem..." Wtedy, oczywiście, wszystko stawało się pewne i zrozumiałe. Dziwił się trochę wątpliwościom Carli.

Objął ją mocno swoimi szerokimi ramionami i powtarzał:

— Obiecuję! Obiecuję!

Nazajutrz z rana odbyły się ostatnie wykłady. Emanuelowi głowa pękała; słuchać spokojnych, profesorskich rozważań było niepodobna. Przedmioty skakały mu przed oczami, głowa go bolała, a czekał go jeszcze dzień przeładowany. Po wykładach i dyskusji, profesor Cieliński zaprosił ich, jego i Luśniaka, do restauracji na śniadanie.

Kiedy szli wąskimi uliczkami do tego zakładu, serce mu się wyrywało na plac Giuseppe Poggi. Wyobrażał sobie, co się tam dzieje po wczorajszych nastrojach radosnych, i sam jego ból głowy świadczył o tym, jak się czuje Carla. A cóż dopiero jej ojciec, którego na pewno gryzą wyrzuty sumienia za to, że wczoraj publicznie przepraszał córkę — una gazza, una oca — całując ją w rękę. Ale trudno, zjedzenie śniadania razem było obowiązkiem delegacji, po to siedzieli we Florencji, żeby coś obgadać.

Weszli do dziwacznej oberży, urządzonej w stylu quattrocento, ale tandetnie. Profesor zamawiał jakieś jedzenie, a Luśniak tymczasem gadał bez przerwy, rzeczywiście o byle czym. Jednocześnie układał na stole lewą rękę tak wyraźnie, aby jego współbiesiadnicy mogli wreszcie zauważyć na czwartym palcu błyskający wspaniały pierścionek. Wreszcie Krasowicz spostrzegł ten klejnot i spytał, skąd go ma.

— Kupiłem sobie — z dumą powiedział Luśniak — niech pan popatrzy. Tutaj są wspaniali jubilerzy.

Zdjął pierścionek i podał go Krasowiczowi; w cztery łapki z platyny ujęty wspaniały stożkowaty szafir o różowawych refleksach widniał w pierścieniu. Krasowicz rzadko widział podobnie wartościowy kamień.

— To muzealny przedmiot — powiedział z lekkim zdziwieniem, oddając pierścionek Luśniakowi — szczęściarz z pana, że pan to tutaj zdobył.

— I to za psie pieniądze. Niech mi pan wierzy, za psie pieniądze.

Profesor także obejrzał pierścionek bez większego zainteresowania i oddał go muzykowi. Kelner przyniósł pierwszą potrawę i zaczęto jeść.

— No, i co panowie mówią o tym wszystkim? — powiedział profesor pomiędzy jednym, a drugim łykiem makaronu, w którego spożywaniu nie okazywał wielkiej umiejętności.

— Niby co? — spytał niedbale Luśniak — kongres jak kongres...

— A pan co sądzi? — zwrócił się profesor do Emanuela.

— Ja? — zdziwił się Krasowicz — oczywiście... — bąkał — może to jest wrażenie powierzchowne, ale uważam, że takie zjazdy prawdziwie europejskich intelektualistów.., myślących prawdziwie... w kategoriach... jednym słowem, to nie może minąć bez pożytku.

— Nie wiem, czy panowie śledzili tak uważnie, jak ja, te debaty. Oczywiście panowie są młodzi, interesują panów może inne rzeczy, ale ja jestem otrzaskany z takimi wykładami. Wysłuchałem uważnie wszystkiego, sam dwa razy przemawiałem — Krasowicz nie zauważył drugiego przemówienia — i doszedłem do nader pesymistycznych wniosków.

Luśniak pełnym zadowolenia gestem poprawił sobie pierścień na palcu i sprawdził blask kamienia:

— Ależ dlaczego, panie profesorze — powiedział, jak gdyby nagle zniecierpliwiony. — Skąd na zebraniu takich mądrych ludzi, takie pesymistyczne wnioski?

Profesor spojrzał na niego, podnosząc w górę swoje zmarszczki na czole i postanowił, mimo wszystko, ciągnąć dalej.

— Wydaje mi się to wszystko jakimś bezpłodnym wysiłkiem wytworzenia atmosfery, jaka sztucznie nie może być wytworzona. Na dnie tych opowiadań i tego wielosłownego gadania czuć strach biednych intelektualistów. I to całe gadulstwo i zagęszczenie idei wydaje mi się kurczowym wysiłkiem, zmierzającym do powstrzymania katastrofy — której i tak nic nie powstrzyma. Czy pan nie miał tego wrażenia? — zwrócił się do Krasowicza.

— Ja? Ależ bynajmniej... Przeciwnie... — Krasowicz trochę plątał się w formułowaniu sądów o rzeczach, o których wcale nie myślał—trochę europejskich idei... rodzaj współpracy umysłowej...

— I ten Schwarzenberg? Czyż on nie jest jakiś podejrzany? I ta pani Soudray z jej entuzjazmem dla.. romantyzmu...

— O — powiedział Luśniak otwarcie — w obronie pani Soudray muszę stanąć gorąco.

— No, może, może — powiedział profesor, grzebiąc w talerzu — potem podniósł oczy i spojrzał uważnie na obu młodzieńców po kolei. Zdawało się, że każdy z nich myślami był gdzie indziej. Profesor westchnął i począł mówić o wczorajszym przedstawieniu, o ostatnim bankiecie, jaki ich czekał dziś wieczorem, w ogóle o rzeczach obojętnych.

Krasowicz zdążył wpaść do pensjonatu dopiero przed samym wieczorem. Jak bomba wleciał do swojego pokoju, potem do jadalni, do „ogólnego", kuchni i pokoiku Carli. Młodej dziewczyny nigdzie nie było. Natomiast gdy powrócił do swojego apartamentu, zastał tam Lucchesiego. Stał on pośrodku pokoju, pod lampą, ale minę miał uprzejmie uśmiechniętą. Nic nie stracił ze swego wczorajszego dobrego humoru.

— Pan szukał kogoś?—zapytał dwornie Krasowicza.

Ten zmieszał się:

— Chciałem gorącej wody — powiedział.

— Zaraz panu przyniosę!

Krokiem pełnym godności, mimo lekkiego utykania, oddalił się i wrócił, niosąc szklaneczkę gorącej wody. Z triumfalnym uśmiechem postawił ją na oknie przed Krasowiczem. Ten zaryzykował pytanie:

— Panny Carli nie ma? — powiedział, rozrabiając mydło.

Lucchesi udał, że nie rozumie kulawej włoszczyzny Krasowicza. Porozumiewali się prymitywnymi zdaniami.

— Panna Carla? Panna Carla? Non c'è? — pytał ostrzej Krasowicza.

— A, nie, nie! Poszła z panną Goethe. Poszła na przechadzkę, przejść, przewietrzyć się, zażyć nieco powietrza, un po'daria... Ma przewrócone w głowie po wczorajszej eskapadzie. Opera, „La Scala", opera russa! Niemożliwe rzeczy, dziewczynie się w głowie przewróciło.

Napisał
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

— Cieszę się, że panna Carla dobrze się bawiła.

— Bawiła? Tak, tak wczoraj bawiła... Ale dzisiaj płacze... Piange tutta la giornata. Pan wie, jak to ona płakać potrafi.

— Pewnie pan jej znowu czego nagadał — złowrogo szepnął Emanuel, goląc policzek.

— Ja? Nie, ja jestem w gruncie rzeczy najlepszy w świecie ojciec. Ja ją kocham, kocham prawdziwie, a że czasami krzyczę... to dla jej dobra, pan rozumie, dla jej dobra... Ot, i teraz posłałem ją na spacer, posłałem z tą starą wiedźmą — con questa vecchia pastrana — a sam zostałem bez pieniędzy. Nie mam z czym posłać Luci do miasta po produkty na obiad.

Krasowicz przerwał golenie i spojrzał uważnie na ex-porucznika.

— Dużo panu potrzeba?

Aymone zmieszał się gwałtownie i odwrócił wzrok od Krasowicza.

— Ach, nie, no, tyle tylko co na obiad. Parę lirów...

— Sto wystarczy? — spytał Emanuel i sięgnął do kieszeni.

Gospodarz zapuścił z ciekawością żórawia do portfelu Krasowicza, ale portfel był bardzo wiotki. Łypnąwszy okiem, odwrócił się ku oknu. Krasowicz wyjął sto lirów i podał je Lucchesiemu. Ten ujął pieniądze ceremonialnym gestem.

— Dziękuję panu. Wpiszę to do rachunku.

— Ależ głupstwo — powiedział Krasowicz — nie warto mówić.

Gospodarz wycofał się tyłem ku drzwiom i zniknął, kulejąc za nimi.

— Czy kpi, czy o drogę pyta? — szepnął sam do siebie Krasowicz — sto lirów!

— — — — — — — —

„Banquet de clôture" odbywał się w pałacu Pitti; gospodarzem był jeden z książąt sabaudzkiego domu, ten sam, który się zjawił w Palazzo Vecchio. Otwarto wszystkie apartamenty pierwszego piętra i ta mieszanina salonu z muzeum, które jest prywatną własnością króla, sprawiała olśniewające wrażenie. Zwarty tłum przechodniów przyglądał się zjazdowi samochodów, sale pałacu i podjazd oświetlone były rzęsiście i na schodach stało mnóstwo postrojonej służby. Krasowicz zajechał taksówką, wieczór był upalny i gorący, duszny nawet, nie narzucił więc nic na swój frak i nic nie włożył na głowę. Okna od strony ogrodów Boboli były otwarte. Przeszedł obojętnie obok wszystkich Rafaelów, w balowej sali grzmiała orkiestra, w tronowej stał książę w otoczeniu kilku adiutantów i reprezentantów miasta. Schwarzenberg przedstawiał mu gości. Emanuel otrzymał kartę z nazwiskiem austriackiej poetki, którą miał prowadzić do stołu, po czym przywitał się z księciem. Za salą balową znajdowały się zamknięte drzwi jadalni. Wszyscy gromadzili się przy nich, ustawiając się w pary. Emanuel z pewną trudnością odszukał swoją Austriaczkę.

Wąż par błyszczał futrami, jedwabiami, mundurami, gwiazdami orderów. Posadzki lśniły i orkiestra brzęczała mocno, grając włoskie prędkie walce i hiszpańskie marsze. Punktualnie o ósmej drzwi się otworzyły i książę wkroczył na salę, prowadząc pod rękę hrabinę Soudray. Na ten wieczór hrabina zarezerwowała sobie najpiękniejszą toaletę z ciemno-łososiowego jedwabiu, ale wydekoltowaną z tyłu do pasa. Nie przykrywał jej żaden płaszcz, kroczyła tak przed wszystkimi jak bogini.

— Gott, die ist doch schön-

A Krasowicz pomyślał: — Żeby to Carla widziała.

Usiedli do stołu, gdzie piętrzyły się srebra, porcelany; pośrodku stołu stała solniczka Benvenuta przeniesiona z dołu, przepych ścian olśniewał zebranych tu drobnomieszczan. I nagle Krasowicz poczuł, że oddałby te wszystkie wspaniałości za jeden wieczór jak wczorajszy, który spędzili przy zimnej wędlinie i serze, przy butelce kiepskiego wina. Tylko żeby Carla jeszcze raz była wesoła, żeby pokazywała baletników i śliniąc sobie końcem języka wargi udawała śpiewaków „La Scali", i żeby stary Lucchesi całował ją w rękę powtarzając: mia figlia, mia figlia!

I raptem między nim i jego sąsiadką wytworzył się prąd porozumienia. Zaczął jej bez związku z niczym, wątłymi nieumiejętnymi słowami opowiadać wczorajszy wieczór, a ona rozumiała to wszystko, potakiwała siwą głową, uśmiechała się ustami pełnymi sztucznych zębów. I opowiadała mu także taką scenę bez znaczenia: nocleg w Tyrolu, w zasypanym śniegiem schronisku — gdzie nic się nie działo na zewnątrz, a wewnętrznie to było dla niej takie ważne. Manu słuchał chciwie tego opowiadania i pod koniec zauważył, że patrzy na swoją interlokutorkę oczami pełnymi łez.

— Jak ona się nazywa? — spytała poetka.

— Carla — odszepnął Krasowicz — i musiał odwrócić oczy na talerz tak były załzawione. — Carla, Carla! — powtórzył sobie i pragnął tak bardzo znaleźć się przy niej, trzymać ją za rękę i nie dać jej, aby płakała. Piange tutta la giornata... Był straszliwie zmęczony tym całym kongresem i prawie nieprzytomny. Musiał oczy wytrzeć chustką. Stara poetka rozumiała go i pocieszała. Na szczęście nikt nie widział tej intymnej sceny na oficjalnym obiedzie. W blasku świateł i brylantów znajdował się, właściwie mówiąc, jak w głębi puszczy, nikt tu nie interesował się ich ludzkością.

Zresztą akurat teraz wszyscy wstali, zaczęły się toasty i hymny zgromadzonych narodowości. W swojej kolejce przemówił także profesor Cieliński, mowa jego choć ładna, była trochę za długa i za rzeczowa, nikt go już nie słuchał. Długa lista toasów już wygasła, kiedy gdzieś na szarym końcu rozległo się uderzenie widelca w kieliszek; Emanuel wraz ze wszystkimi spojrzał w tamtą stronę i struchlał. To Luśniak podniósł się z włosami bardziej w nieładzie niż kiedykolwiek, z krawatem przekrzywionym, i niespodziewanie cienkim głosem zaczął: „Mesdames, Monsieurs" — opuszczając sakramentalne „Monseigneur", od którego zaczynali jego poprzednicy.

Emanuel odnalazł oczami purpurowego profesora, który tkwił bezsilnie gdzieś w górze stołu.

— Panie i panowie — powiedział mniej więcej Luśnik— przepraszam, że zabieram głos poza kolejką, ale już widzę, że nikomu nie przyszło do głowy wzniesienie toastu, jaki ja uważam za konieczny. Nikt nie pił jeszcze — ku mojemu oburzeniu — zdrowia, które ja, syn rycerskiej Polski, uważam za obowiązek wnieść. Kongres nasz nie byłby ani w połowie tak udany, ani w połowie tak przyjemny i nie dałby takich rezultatów, gdyby nie udział w nim lepszej i piękniejszej połowy ludzkości. Panowie zapomnieli o damach! Jak można. Sprostujmy czym prędzej ten błąd, wznosząc okrzyk na cześć pięknych pań i pijąc ich zdrowie w ręce najpiękniejszej, hrabiny Joanny Soudray. Niech żyją! —

Ogłuszające oklaski powitały przemówienie, muzyka, brawa nie milkły przez chwilę, a panie zaróżowione, uśmiechnięte dziękowały ukłonami. Książę Sabaudzki pił szampana z panią Soudray. Był to stanowczo największy sukces naszej delegacji na zjeździe.

Po obiedzie miały się odbyć ognie sztuczne na stawie ogrodu Boboli. Część towarzystwa wyszła na taras pałacowy, część zeszła do samego ogrodu, gdzie było pięknie jak latem. Pani Soudray zarzuciła swój biały płaszcz i weszła w ciemną aleję cyprysów i posągów, która prowadziła do stawu. Krasowicz sam nie wiedział, jak się znalazł przy niej.

Z początku towarzyszyło im parę osób, potem zostali sami, goście porzucali ich, odchodząc na jeziorko, gdzie miały płonąć ognie; w dalekim pawilonie zabrzmiała muzyka, pani Soudray wzięła go pod rękę:

— Jeszcze mi pan nie powiedział, czy jedziemy jutro razem?

— Nie mogę, nie mogę — szepnął Manu odwracając głowę.

— Dlaczego: nie mogę? Dlaczego: nie mogę? — Pani Soudray brała go za ręce, za ramiona, coraz wyżej. Wreszcie schwyciła go za głowę i zwróciła ku sobie jego twarz, jego oczy. Ale nie chciał patrzyć na nią, lękał się jej widoku, jej białego przerażającego piękna. Wzniósł źrenice w górę i właśnie w tej chwili wzbiła się pierwsza świetlna kula, wywołując w nich szafirowe blaski. Złotość ogni sztucznych zapaliła się na jego bladej twarzy. Pani Soudray przyciągnęła tę twarz ku swoim ustom i naprzód pocałowała jego powieki, a potem wargi.

— Dlaczego: nie mogę? — powtórzyła. — Pojedziesz!

— Pojadę — szepnął niedosłyszalnie i poczuł na swoim czole, włosach, ustach, wargach rój pocałunków Joanny.

Potem trzeba było całą sprawę załatwić z Carlą. Nie poszło to gładko. Bardzo zmęczony, opity przyszedł do swojego pokoju późno w nocy, oczy miał jeszcze olśnione ogniami sztucznymi na Vasca dell'Isolotto i pięknością pani Soudray. Mała czarna postać siedziała skulona na krzesełku przed otwartym oknem. Carla oparła głowę na framudze, włosy jej rozrzuciły się w nieładzie, napół drzemała. Krasowicz bez okrycia przeziąbł trochę w wilgotnym ogrodzie i drżał lekko. Nie zapalając światła, zbliżył się do dziewczyny; nie poruszyła się, ale widział, że oczy ma otwarte.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

Jan Rojewski

NOWA POWIEŚĆ DYGATA

Z kolei najlepszą książką 46-go roku okazało się „Jezioro Bodeńskie“ Stanisława Dygata. Tym samym wszystkie już niemal powieści powojenne zyskały zaszczytny tytuł „najlepszych“. Książka Dygata tym się jednak różni od innych najlepszych, że jest dobra.

Złośliwi twierdzą, że Dygat, po otrzymaniu nagrody „Tygodnia“ zamierza pisać „Co Tydzień powieść“. Pierwszą z tego cyklu zapowiedział zresztą sam laureat w wywiadzie dla prasy.

Znając szczerą niechęć Dygata do pisania, byłem zdumiony tą nagłą pracowitością, godną co najmniej Putramenta. Okazało się jednak, że zapowiedziane powieści nie przekroczą jednej stronicy druku każda, a więc, jak twierdzi Dygat, będą co najmniej siedemset razy lepsze od „Rzeczywistości“. Zwróciłem uwagę Mistrza, że tego rodzaju ocena wprowadza przewrót w dziedzinie krytyki literackiej. Okaże się, na przykład, że „Kobiety z Limbach“ są czterokrotnie lepsze od tejże „Rzeczywistości“ bo ściślej w stosunku jak 700 : 150.

Żeby nie być gołosłownym i nie przedłużać dyskusji, Dygat przeczytał mi w ciągu pięciu minut ostatnią swoją powieść, „Tragiczne dzieje Emigracji Londyńskiej“. Byłem zachwycony. Książka jest pisana w pierwszej osobie. Narratorem jest jeden z tragicznych „Londyńczyków“. Spamiętałem oczywiście każde słowo i przytaczam dosłownie:

Stanisław Dygat
TRAGICZNE DZIEJE EMIGRACJI LONDYŃSKIEJ
Powieść
Rozdział Pierwszy i Ostatni

„Żaglowiec nasz stał w porcie londyńskim. Iście londyńska mgła była tego południa tak gęsta, że na odległość dwóch kroków nic nie mogłeś dojrzeć. Nawoływaliśmy się więc wzajemnie patriotycznymi okrzykami. Kapitan czynił ostatnie przygotowania do wielkiej podróży, którą właśnie podjęliśmy. Miał nadzieję, że mgła ustąpi w ciągu najbliższych paru godzin i przy pomyślnym wietrze uda nam się w końcu wypłynąć na sine fale Bałtyku, ku rodzinnym portom. Mgła jednak nie ustępowała. O świcie uzupełniliśmy zjedzone w ciągu nocy zapasy żywności. Na bezskutecznym czekaniu minęło jeszcze parę dni, a mgła nie ustępowała. Wreszcie w obawie, że mogłyby nas wyprzedzić okręty ze wschodu, postanowiliśmy płynąć mimo mgły. Kapitan kazał rozwinąć żagle.

Płynęliśmy już od miesięcy w tumanach burej mgły, tak gęstej, jak w chwili wyjazdu. Po sprawdzeniu zapasów żywności, wody i wódki ograniczono racje dzienne do minimum. Mgła nie ustępowała. Na dobitkę straciliśmy wszelką orientację. Nikt nie wiedział gdzie się znajdujemy i dokąd płyniemy. Każdy majtek sterował w innym kierunku, pewny, że ten właśnie kierunek jest prawidłowy. Wreszcie nastąpiło to, co musiało nastąpić. Zjedliśmy, mianowicie, ostatnią puszkę UNRRA-y. Cztery dni obgryzaliśmy paznokcie. Po dramatycznej odprawie, (mgła nie ustępowała) postanowiliśmy poświęcić na ołtarzu ojczyzny jednego z nas. Losowaliśmy. Starczył nam zaledwie na dwa dni. Losowaliśmy znowu. Załoga topniała więc w szybkim tempie, a mgła nie ustępowała Po paru latach wzajemnego pożerania się (mgła ciągle nie ustępowała) zostałem ja i kapitan. Losowaliśmy. Los padł na kapitana. Po tygodniu (mgła nie ustępowała) zorientowałem się że mi grozi smutny koniec w mękach śmierci głodowej. Czy nie lepiej skończyć gwałtownie? SKOCZYŁEM ZA BURTĘ!! — I jak sądzicie, gdzie się znalazłem? — Na deskach portowych w LONDYNIE!! — Okazało się, żeśmy zapomnieli podnieść kotwicę“.



Stanisław Dygat w karykaturze Jerzego Zaruby

Długo gratulowałem Dygatowi jego nowej powieści: „Tragiczne Dzieje Emigracji Londyńskiej“.

— Najważniejsze, rozumiesz — wtrącił — że powieść moja jest łatwa do opanowania pamięciowego. A młodzież powinna się przecież czegoś uczyć na pamięć .Niech się uczą prozy, kiedy poezja jest nie do spamiętania. Bo spróbuj spamiętać bodaj najkrótszy wiersz Juliana Przybosia...

Trochę o Szaniawskim

Dlaczego dziecko lubi bajki? W jakiejś pracowni psychotechnicznej widziałem kiedyś cykl zdjęć, które obrazowały reakcję mimiczną na opowiadaną mu bajkę: lęk, płacz („podkówka“), oburzenie, troska, nasłuchiwanie, gniew, współczucie, niepokój — słowem, wszystkie możliwe uczucia malowały się kolejno na twarzyczce dziecka. zależnie od fabuły bajki, dopóki wreszcie nie ustąpiły radosnemu uśmiechowi i zadowoleniu, gdy nadszedł oczekiwany happy-end: szczęśliwe rozwiązanie. Jakiego rodzaju było to zadowolenie? Zapewne i estetyczne, że wszystko się ładnie kończy, i moralne, że kończy się dobrze. Niejeden uczony psycholog i pedagog lata całe badał, jakie znaczenie ma bajka w życiu dziecka: niepodobne więc, żebym się w felietonie zastanawiał nad tym trudnym zagadnieniem. Uderzało mię nieraz to, że najwięksi pisarze świata dochodzą często w swej twórczości do takiego momentu, i to w jej pełni, u szczytu jej, że pragnęliby napisać coś dla dzieci, dla młodzieży. I nie zawsze się im to udaje. Niełatwa więc to musi być sztuka. Lew Tołstoj np. na starość próbował pisać bajki dla dzieci. Nasza krytyka uważa, że jednym z najlepszych dzieł Sienkiewicza jest to, które stworzył dla młodzieży — „W pustyni i w puszczy“: udało mu się więc.

Chociaż pedagogika twierdzi, że dziecko w pewnym wieku rozstaje się z bajką, myślę, że my wszyscy do końca życia nie zrywamy związku duchowego z żywiołem bajkowym czy bajecznym: nie wiem, jak go trzeba ściśle nazwać. Sądzę, że powieści, ulubione przez nas w okresie pacholęctwa — awanturnicze, detektywne, podróżnicze, wyprawy na księżyc, na dno oceanu, w głąb dżungli i prerii — zawierają również element bajki. Można powiedzieć, że t.zw. arcydzieła literatury światowej, niepożyte jej pomniki, do których odczytywania powracamy w pewnych chwilach naszego życia, jak Mahabharata, Iliada, Don Kichot, Robinson Kruzoe, Gulliwer, Hamlet, czy coś w tym rodzaju, nawet Boska Komedia, Dziady albo Pan Tadeusz lub Trzej Muszkieterowie, czy też Nędznicy (wyliczam to wszystko bez wyboru), te arcydzieła także są właściwie „bajką“. Liryka uczuciowa, która nas odurza wówczas, gdy wkraczamy w młodzieńczy Sturm- und Drangperiode, jest „bajką“; liryka filozoficzna, nad którą zwieszamy głowy na starość, to również „bajka“. Zresztą, nie będę sie nad tym rozwodził: w sposób doskonały uczynił to Chesterton w swej „Obronie niedorzeczności“. Ja bajki tak lubię ogromnie — mogę tylko powtórzyć banalną prawdę za starą piosenką.

„Bajka“ pociąga nas z dwóch powodów. pobudza naszą fantazję i wyobraźnię, tudzież „odrywa“ czas od rzeczywistości. Gdyby nie fantazja i wyobraźnia nie byłoby kultury; „ odrywanie się“ zaś od rzeczywistości czyli tęsknota do ideałów, do lepszego życia — to czynnik postępu i wiedzy z jednej strony, z drugiej — główny motor twórczości literackiej: trzeba, chodząc po ziemi, wznosić głowę do nieba — oto istota „bajki“, jakby powiedział Bolesław Prus.

Takie nieuporządkowane i rozpierzchłe myśli przebiegały mi przez głowę, gdy oglądałem „Dwa teatry“ Szaniawskiego, który oto, pospołu ze St. Dygatem, został laureatem nagrody literackiej „Tygodnia“. Teatr też jest



Jerzy Szaniawski w karykaturze Jerzego Zaruby

bajką — myślałem. I gdyby jakiś fotograf, niepostrzeżenie dla mnie, filmował moją twarz, gdym patrzył na przedstawienie, badałbym potem na zdjęciach z uśmiechem i ze zdziwieniem moją „reakcję mimiczną“, podobną do reakcji dziecka. Któryś ze znawców teatru wyraził się tak: prawdziwy teatr zaczyna się tam, gdzie się kończy realizm. Czy nie może to znaczyć, że teatr jest przejściem od rzeczywistości do jakiejś bajki? Łunaczarskij w swej rozprawie o teatrze p.t. „Socjalizm a sztuka“ wypowiedział takie osobliwe zdanie: „Społeczny teatr przyszłości powinien wznosić dusze ludzkie do wyżyn ekstazy religijnej“. Cóż to jest ekstaza? Pamiętam jedno z owych zdjęć, przedstawiających „reakcję mimiczną“ dziecka na bajkę. Podpis pod nim tłumaczył: „zasłuchanie“. Oczy dziecka gdzieś utkwione w przestrzeń, paluszek przy wargach, buzia wpół otwarta, brewki się marszczą, na czole myśl, a na całej twarzyczce roziane jakieś zachwycenie — właśnie ekstaza. Gordon Craig, wielki teatrolog, wykłada, że celem dążeń aktora jest stać się na scenie „nadmarionetką“. A cóż to jest marionetka, kukiełka, łątka — jeśli nie bajka? Czyż dawna Commedia dell'arte, która dała nam takie żywe marionetki, jak Arlekin, Colombina, Pulcinello, nie była bajką? A Chaplin — genialna marionetka, i jego filmy, jak „Swiatła wielkiego miasta“ albo „Cyrk“ — to nie jest bajka?

Gdy oglądam sztuki Szaniawskiego, wydaje mi się zawsze, że jestem na pograniczu rzeczywistości i pięknej, uwznioślającej nas bajki. Myślę nie tylko o „Dwóch teatrach“, gdzie element „bajki“ przeważa. Wszystkie one były takie — bajkowe czyli po prostu wielce poetyczne, pełne sugestii i czaru, który brał naszą duszę na jakiś czas w posiadanie i urzekał ją. Weźmy najgłośniejszą, być może, z jego sztuk — „Adwokata i róże“. Ukazany był tam człowiek — praktyczny, zdawałoby się, adwokat, w którego duszy ogródek różany utożsamił się z jego żoną: żona była różą jego życia, wciąż rozkwitające, pielęgnowane róże były obrazem żony. Wszystko to jest realne a jednocześnie ucieka w „dziedzinę ułudy“. Oto do ogródka zakrada się złodziej. Ale adwokat czuje, adwokat wie, że młody złodziej nie po róże tu przyszedł: chciał mu skraść co innego. Młodzieniec musi odpowiadać za kradzież róż z cudzego ogrodu. I naraz wytwarza się niezwykła, jak w bajce, sytuacja. matka młodzieńca prosi adwokata, żeby bronił jej syna, a gdy adwokat patrzy na nią osłupiały, słyszy dziwne słowa: jakto? mogłeś bronić nieraz ludzi naprawdę niecnych, dlatego, że innym czynili zło, a teraz, gdy ciebie ktoś skrzywdził, chcesz go potępić i skazać? I adwokat pochyla głowę, i poddaje się temu nakazowi moralnemu. Czyż to wszystko nie zakrawa na bajkę? Ale, jak wiadomo, bajka ma to do siebie, że w otoczce alegorii i fantazji kryje ziarno prawdy i mądrości życiowej, do których każdy ułomny człowiek dąży. Prócz tego jej twórczym składnikiem jest dramatyczność, jeśli przez dramatyczność będziemy rozumieli przyrodzony myślącemu człowiekowi stan czujności moralnej i szepczący w nim wciąż — mocniej lub słabiej — głos sumienia. Dramatyczność w tym sensie, w której się można oplókać jak w zdrowym ruczaju, właściwa jest twórczości teatralnej Szaniawskiego.

JERZY WYSZOMIRSKI

Marian Weralski

ZAGADNIENIE STRUKTURY MŁYNARSTWA POLSKIEGO

Przed wojną, według danych zaczerpniętych z Małego Rocznika Statystycznego było w Polsce ogółem 5.867 młynów (wykupujących świadectwa przemysłowe I — VII kategorii). W tym młynów większych (I — V kat.) 798. Młyny te przemełły w 1937 roku 4114 tys. ton różnego rodzaju zbóż. Poza tym istniało około 10.000 małych gospodarczych młynów.

Prawie wszystkie te młyny znajdowały się w rękach prywatnych Zarówno państwo jak i spółdzielczość nie grały przed wojną w przemyśle młynarskim żadnej roli. Posiadanie np. przez Związek „Społem“ przed wojną jednego, wprawdzie dużego młyna, nie dawało spółdzielczości żadnej możliwości oddziaływania na rynek. Rozmieszczenie i stan młynów w Polsce, w takiej sytuacji nie był oczywiście wynikiem jakiegoś planu opartego na istotnych potrzebach kraju, lecz powstał z przyczyn często przypadkowych, z wzajemnych starć interesów, z systemu wolnokonkurencyjnego, z mniejszej lub większej inicjatywy ludzi posiadających kapitały, które powinny przynieść możliwie największy zysk.

Wykr. 1. Stan posiadania młynarstwa w Polsce do r. 1947



Długotrwała okupacja i działania wojenne oraz ustalenie nowych granic przyniosło szereg zmian w stanie ilości i rozmieszczeniu młynów. Szereg młynów zostało zniszczonych, odpadły młyny na wschodzie, a przyszły młyny na Ziemiach Odzyskanych. Rabunkowa gospodarka okupanta nie przeszła bez śladu, jeśli chodzi o stan młynarstwa. Wszystko to jednak nie były zmiany zasadnicze.

Zmiany zasadnicze powstały dopiero w wyniku dekretu o reformie rolnej i ustawy o nacjonalizacji przemysłu. Dekret o reformie rolnej był podstawą przekazania ponad 800 młynów pozostałych na resztówkach po parcelacji spółdzielniom i związkom komunalnym. Ustawa o „nacjonalizacji przemysłu“ przewidziała przejęcie na własność państwa za odszkodowaniem wszystkich młynów o zdolności przemiałowej ponad 15 ton zboża na dobę. Akty te dają podstawę do planowego gospodarowania w przemyśle młyńskim.

Do niedawna stan posiadania młynarstwa przedstawiał się następująco:

Związek „Społem“	96 młynów
spółdzielnie i samorząd	880 młynów
Państwowe Zjednoczenie młyńsko-piekarniane	272 młyny
prywatni posiadacze około	8.500 młynów

Decyzja rządu o likwidacji Państwowego Zjednoczenia młyńsko-piekarnianego i przekazanie spółdzielczości wszystkich młynów podlegających dotychczas Zjednoczeniu wprowadza zupełnie nową sytuację. „Społem“ Związek Gospodarczy Spółdzielni staje się wraz ze związanymi z nim spółdzielniami odpowiedzialnym za całokształt problemu młynarskiego w Polsce.

W wyniku przepracowania zagadnienia struktury młynarstwa przez „Społem“ ustalona zostaje zasada, że „Społem“ zatrzymuje tylko bardzo duże młyny, o dużej zdolności przemiałowej o znaczeniu i zasięgu terytorialnie szerokim, natomiast młyny o zasięgu lokalnym przekazane zostają spółdzielniom. W ten sposób „Społem“ przejmuje tylko część młynów Zjednoczenia, drugą natomiast część przejmują spółdzielnie. Z posiadanych zaś już dotychczas przez „Społem“ młynów kilkadziesiąt mniejszych również przekazanych zostaje spółdzielniom.

Akcja likwidacji Zjednoczenia i przejmowania przez spółdzielczość młynów trwa i w jej wyniku stan ma się przedstawiać następująco:

Związek „Społem“	192 młyny
spółdzielnie	1.055 młynów
prywatni posiadacze około	8.500 młynów
	(por. wykres 1)

Wprawdzie z zestawienia tego wynika niewielka stosunkowo ilość młynów w rękach spółdzielczości w porównaniu z prywatnymi, nie należy jednak zapominać, że spółdzielczość dysponuje największymi zakładami. Wynika to z porównania zdolności przemiałowej. Zdolność przemiałowa zboża na dobę wynosi łącznie:

w młynach „Społem“	8.469 ton
w młynach spółdzielni	5.900 ton
w młynach prywatnych	13.400 ton

a w procentach zdolność przemiałowa zakładów spółdzielczych wynosi 51,7%, a prywatnych 48,3% (por. wykres nr 2).

Stan powyższy będzie niewątpliwie uporządkowaniem struktury młynarstwa polskiego, ale jednocześnie początkiem właściwej polityki i planowej gospodarki na tym terenie. Teraz dopiero staje przed spółdzielczością zagadnienie racjonalnej polityki młyńskiej i cały ogrom pracy do wykonania a zarazem olbrzymia odpowiedzialność.

Przede wszystkim łączna zdolność przemiałowa wszystkich młynów wynosi rocznie (licząc 300 dni pracy) 7.830 tys. ton zboża, co przekracza prawie dwukrotnie rzeczywisty przemiał, jaki będzie przypuszczalnie w 1947 roku.

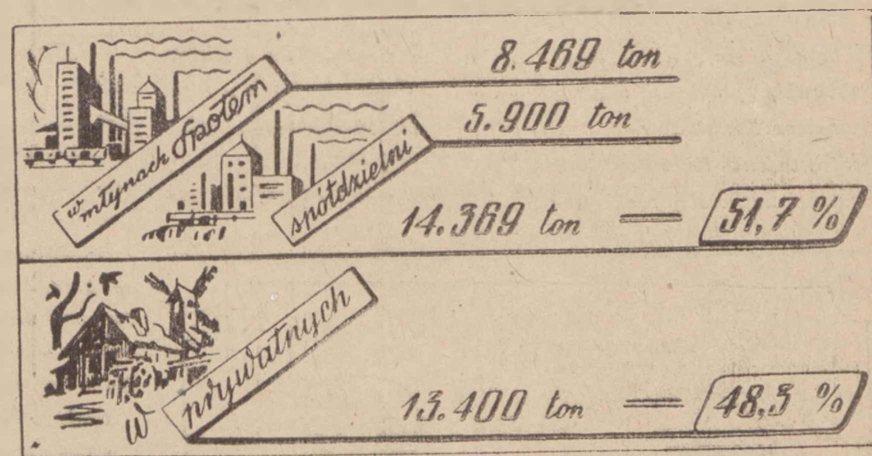
Wykr. 2. Porównanie ilości młynów w rękach spółdzielczych i prywatnych



W gospodarce kapitalistycznej w takim wypadku zwycięża konkurencja ze stratami dla całokształtu gospodarstwa narodowego. W planowej gospodarce, gdzie niedopuszczalne jest jakiekolwiek niepotrzebne marnotrawstwo sił i energii, należy wykorzystać maksymalnie te zakłady, które znajdują się w optymalnych warunkach nakładu pracy i kapitału, nawet unieruchamiając zakłady zbędne i pracujące najmniej wydajnie.

W związku z tym Związek „Społem“ jako prowadzący tę politykę w skali ogólnokrajowej, będzie w łatwej sytuacji w stosunku do swych własnych zakładów, w trudniejszej w stosunku do zakładów prowadzonych przez spółdzielnie a w jeszcze trudniejszej, jeśli chodzi o młyny prywatne. Już teraz należy się zastanowić nad takimi powiązaniami gospodarczymi młynów prowadzonych przez spółdzielnie ze „Społem“, aby młyny te mogły być w rękach „Społem“ instrumentem w ogólnej jego polityce.

Wykr. 3. Porównanie dziennej zdolności przemiałowej młynów w rękach spółdzielczych i prywatnych



W stosunku zaś do młynów prywatnych musi „Społem“ wypracować metody pracy, które nie krępując prywatnych posiadaczy, uniemożliwiłyby im prowadzenie działalności niezgodnej z ogólną linią postępowania „Społem“. Niewątpliwie wiele w tej dziedzinie może zrobić państwo, które prowadzi ogólną politykę gospodarczą, a więc także i na odcinku młynarskim. Dla spółdzielczości jednak, jako dla bezpośredniego wykonawcy i czynnika odpowiedzialnego za tę politykę, może mieć decydujące znaczenie stopień opanowania przez spółdzielczość skupu zboża, z drugiej zaś strony odpowiednio prowadzona polityka w młynarstwie może być instrumentem przy regulacji rynku zbożowego. O tych jednak zagadnieniach należy napisać osobno innym razem.

ROLA SPÓŁDZIELCZOŚCI W GOSPODARCE MIESZANEJ

W Polsce istnieje system gospodarki mieszanej, złożonej z trzech zasadniczych elementów. Sektor państwowy prowadzi te gałęzie gospodarki narodowej, które nakreślają kierunek gospodarki w kraju i regulowanie tempa rozwoju gospodarczego w poszczególnych gałęziach. Ponadto ustalają podstawowe, wyjściowe ceny.

Pomiędzy gospodarką państwową a sektorem prywatnym stoi spółdzielczość. na inicjatywę drobnego czy średniego przedsiębiorcy może odpowiedzieć bezpośrednią inicjatywą zainteresowanych ludzi pracy. Jest to droga uzupełnienia kluczowego aparatu państwowego przez rozbudowanie aparatu spółdzielczego, który na odcinku codziennych potrzeb ma zaspokajać dążenia mas pracujących.

Spółdzielczość w polskiej gospodarce mieszanej coraz bardziej uzyskuje decydującą pozycję w organizacji bezpośredniego zaspokajania potrzeb pracujących jako indywidualnych producentów i jako spożywców. W ręku państwa musi się znajdować wszystko to, co bezpośrednio związane jest z potrzebami państwa i narodu: a więc aparat kierowniczy gospodarki, który pozwoli państwu prowadzić długofalową politykę gospodarczą. Określać nadto tempo i kierunek rozwoju gospodarki i jej szczególnych części, hierarchię potrzeb inwestycyjnych różnych terenów kraju, zasady podziału dochodu społecznego, ustalenie i wykonanie planu przez całokształt gospodarstwa narodowego.

Zasadą podstawową spółdzielczości jest jedność ruchu spółdzielczego.

Należy położyć szczególny nacisk na rozwój gminnych spółdzielni Samopomocy Chłopskiej. Działalność tych spółdzielni gminnych, obejmująca zagospodarowanie resztówek pofolwarcznych i prowadzenie gospodarki w spółdzielniach celem zaspokajania w różnych kierunkach potrzeb indywidualnych na terenie gminy gospodarstw wiejskich — jest koordynowana przez Komisję Wiejską i Wydział Przemysłowo - Rolny „Społem“. Dla należytej obsługi przez spółdzielnie gminne Samopom. Chłopskiej poszczególnych gospodarstw rolnych niezbędne jest sprawne funkcjonowanie jednej wszechstronnej hurtowni „Społem“ w powiecie. Oddziały powiatowe „Społem“ znajdują się we wszystkich powiatach Rzeczypospolitej.

Spółdzielczość w miastach zmierza do odegrania decydującej roli na rynku służącym potrzebom pracujących. Najpilniejszym zadaniem ruchu spółdzielczego i w miastach i na wsi jest niewątpliwie rozbudowa sieci detalicznej spółdzielni — na wsi do stopnia pełnego zaspokajania potrzeb chłopskich jako producentów i spożywców, w miastach do stopnia decydującego wpływu na rynek. Spółdzielczość spożywców winna bezwzględnie rozszerzyć swój asortyment i objąć decydującą pozycję w nowych dziedzinach zaopatrzenia pracujących w artykuły pierwszej potrzeby. Spółdzielczość musi posiadać aparat gospodarczy, dostateczny dla prowadzenia w pełni postulatów pracujących w praktyce całego przemysłu i handlu, których zadaniem jest bezpośrednie zaspokajanie potrzeb spożywców. Zdrowa inicjatywa prywatna, która spełni te postulaty, będzie mogła pracować z pożytkiem obok spółdzielczości.

Udział spółdzielczości w handlu zagranicznym musi odpowiadać jej zadaniom na rynku wewnętrznym. Spółdzielczość pragnie objąć eksport rolny przemysłu rolnego i spożywczego oraz import dóbr masowego spożycia i zaopatrzenia warsztatów chłopskich na roli i warsztatów rzemieślniczych.

Leon Reinschmidt

Z placówek wytwórczych „Społem”.

Wytwórnia baterii elektrycznych w Częstochowie

W Częstochowie przy Al. Wolności 14 (tel. 11-60) istnieje **Wytwórnia baterii elektrycznych „Społem“**. Zorganizowana została w lutym 1945 roku, podejmując produkcję 4 gatunków baterii: płaskich 4,5 v, okrągłych 3 v, amerykanek 1,5 v, oraz na specjalne zamówienie — anodówek.

Dzienna produkcja w sezonie zimowym wynosi 7.000 sztuk. Całą produkcję na potrzeby wsi odbierają oddziały „Społem“.

Wytwórnia zatrudnia w sezonie zimowym 100 pracowników. Obroty wytwórni w 1945 r. wynosiły 2 miliony zł w roku ubiegłym wzrosły do 14 milionów zł.

Wytwórnia znajduje się jeszcze w stadium organizacji, projektowane jest uruchomienie w sezonie letnim nowych działów produkcji. Kierownictwo Wytwórni spoczywa w ręku p. Jana Prażmowskiego (a)

BAJECZKI
dla dużych dzieci

Janusz Odrowąż

Romans lalki

Do kąta za szafą, gdzie leżały zabawki, przybyła śliczna, porcelanowa laleczka.

Dotychczasowi lokatorzy byli dokwaterowaną osobą zachwyceni, a i ona spoglądała na nich ciekawie. Czuła, że jeden z nich zostanie jej przyjacielem, tylko nie wiedziała który.

Pierwszy złożył swą ofertę pajacyk.

— Wybierz mnie — powiedział. — Patrz, jaki jestem ładny! I jaki elastyczny. Dzięki mej giętkości mogę zrobić karierę urzędniczą, co już się niejednemu pajacowi udało.

— On jest rzeczywiście ładny — pomyślała laleczka. — Ale ja to sama widzę. Czemu nie mówi raczej o mojej piękności? Tak się z kobietą nie postępuje.

I odrzuciła pajacyka.

Jako drugi wystąpił murzynek.

— Wybierz mnie, laleczko! Spójrz na moją cerę. Jestem nad zwyczaj praktyczny, zwłaszcza w Warszawie. Mogę z tobą przez cały dzień chodzić po ulicach i wcale nie będę czarniejszy, niż jestem!

— To prawda — pomyślała laleczka. — Ale czemu on mówi o swojej cerze, a o mojej ani słowa? Przecież porcelanowy urok mej ślicznej buzi wart jest paru słów zachwytu!

I odrzuciła murzynka.

Wtedy wystąpił pluszowy miś.

— Mnie wybierz — mruknął. — Jestem kuzynem sławnych białych niedźwiedzi, które zjadały w Warszawie amerykańskich korespondentów. Wprawdzie uwłosienie moje ma kolor brązowy, ale, powiedz sama, czy nie jest piękne?

— A o moich jedwabistych włosach nawet nie wspomniał! — oburzyła się w duchu laleczka. — Co za gbur!

I odrzuciła misia.

Trzej nieszczęśni zalotnicy poszli płakać pod stół.

Gdy skończyli, oczom ich przed stawił się widok laleczki na grzbiecie drewnianego konia na biegunach.

Konik kołysał się w tył i naprzód z całej siły, a roześmiane oczy laleczki mówiły wyraźnie, że już dokonała wyboru.

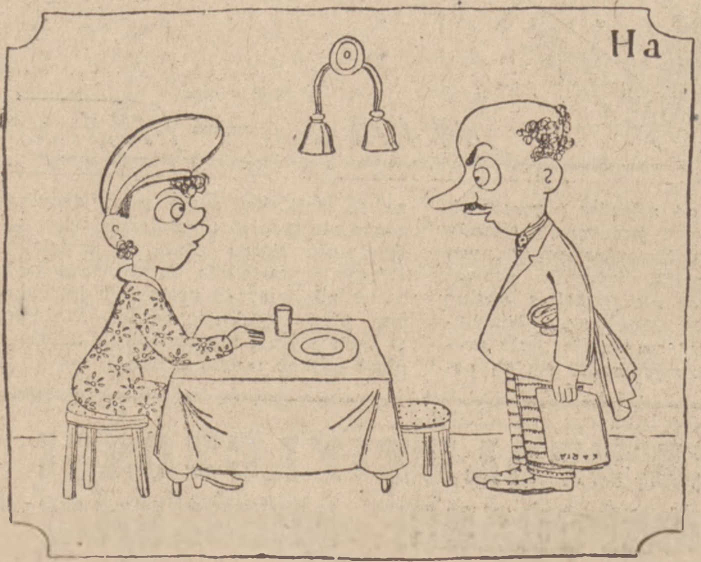
— Jakto! — jęknął pajacyk.— Więc on jest ładniejszy ode mnie?

— Czyż jego chropowata cera może się równać z moją? — krzyknął murzynek.

— Albo jego sierść z moją sierścią? — dodał miś.

Laleczka zastanowiła się.

— Może i nie — rzekła. — Ale, widzicie, ja jestem prawdziwą kobietą, a on ma to, co decyduje o wszystkim: umie dobrze bujać.



(rys. Ha-Ga)

— Proszę o cielęcinę, ale bez marchewki.
— Czy może być bez buraczków, bo marchewki już nie ma.

NA „KUŹNICĘ"

Nie wie lewica,
co robi „Kuźnica"

NA „PRZEKRÓJ"

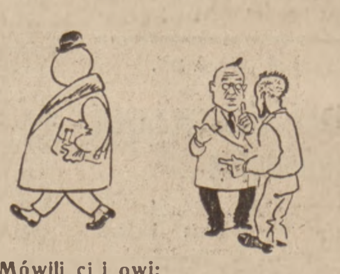
Jest i Szpalski i Bęcwalski
i kapelusz kardynalski.
Szukasz forsy — wstąp na chwilę!
Czytaj: Eile — mów: A ile?

Leon Pasternak

Kariera męża



Od młodych lat zarania
był m ę ż e m z a u f a n i a



Mówili ci i owi:
to m ą ż o p a t r z n o ś c i o w y



Zadaniom trudnym sprostał,
więc m ę ż e m s t a n u został



I tylko w domu wciąż
jest z niego zwykły m ą ż...

PRZYGODY ZAGŁOBY

Sławna postać — Rys. Jerzy Zaruba



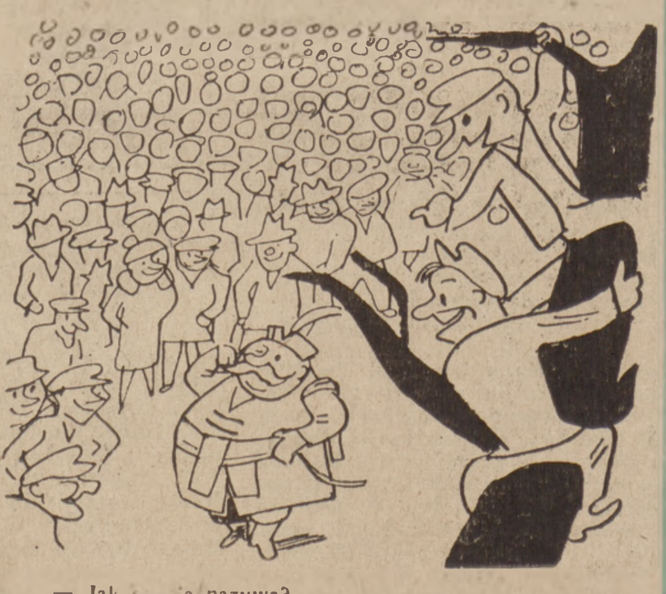
— Jużem ze smutkiem nieraz myślał, że nikt dziś nie wie, kto to jest Zagłoba. Jednakowoż widzę, żem był w błędzie. Ci ichmościowie najwyraźniej mą sławną personę poznali.



— Siła ludzi ze wszech stron bieży, wskazują mnie sobie, przez jakieś przyrządy patrzą... Jak to miło, żem nie został do cna zapomniany w narodzie!



...i kroczył imć Zagłoba jakby wielkim szpalerem przez rozstępujące się tłumy uformowanym. Radość rozpierała mu serce, a słuszna duma biła ze szlachetnego oblicza...



— Jak ... e nazywa?
— Diabl ... wiedzą. Grunt, że od dziś to sławny facet.
— Tak, tak. Zamiast pod „Polonię", do banku poszedł i dolary po urzędowym kursie sprzedał !

POKÓJ przy LUBARTOWSKIEJ

(Dokończenie ze str. 9)

O planie poinformowaliśmy i ex-waltornistę Bolka, który ostatnio próbował gry na wiolonczeli.

Pięknego grudniowego wieczoru, gdy jak zwykle wszyscy pilnie przygotowywali się do utrudniania sobie życia, nagle zacząłem przekonywująco i z zapałem mówić o powołaniu człowieka. Powołanie to, mówiłem, strzeszcza się w dążeniu do zachowania rodzaju ludzkiego. A skuteczne dążenie do zachowania, ciągnąłem dalej, osiąga się tylko przez związek małżeński.

Nawet Jurek, który, jako poeta awangardowy i realista literacki, najtrudniej we wszystkim, co dotyczyło życia, orientował się — wykazał pewne zainteresowanie tematem.

Buchalterzy natomiast od razu żywo zareagowali, probując cyfrowo obliczyć swe osobiste możliwości w dziedzinie przedłużenia rodzaju ludzkiego.

Początek akcji udał się; teraz tylko należało rozwijać dalszą systematyczną a wytężoną działalność w kierunku skutecznego wpływania na stany emocjonalno-psychiczne lokatorów. Jak zwykle, sięgnęliśmy po środki najprostsze: zawiesiliśmy na ścianach dwa tuziny obrażających moralność pocztówek i co wieczór opowiadaliśmy niby sobie z Bolkiem, ale tak, żeby wszyscy słyszeli — pikantne a fantastyczne szczegóły z własnych przeżyć erotycznych.

Skutek był taki, że pięciu (których wymienianie zbyt wiele zajęłoby czasu) poczuło w sobie gwałtowny pociąg do zmiany stanu cywilnego, wytrzeszczyło swoje rybie oczy i głupkowato zapytało:

— A jak się ożenić?

Na to pytanie z Bolkiem i Ludwiczkiem czekaliśmy.

Przewidując pożądany rozwój wypadków, jeszcze przedtem zawarliśmy znajomość z pewną uroczą blondynką, której wiek, w zależności od rodzaju i ilości nałożonej na twarz szminki — wahał się między czterdziestką a sześćdziesiątką.

Blondynka, rezydująca w parterowym, drewnianym domku pod kasztanem przy ul. Zamojskiego — trudniła się kojarzeniem małżeństw, czyli prowadziła interes w języku ogłoszeń gazetowych zwany biurem matrymonialnym. Ponieważ nieliczne wówczas gazety ogłoszeń matrymonialnych unikały, więc cała reklama sprowadzała się do kontaktów prywatnych i wywieszonego w oknie skrawka papieru z napisem: „Tó morzna do konać szczenśliwego orzenku — s piencioletnio gwarancją..."

Zaprowadziliśmy tedy Jurka i tych pięciu na ulicę Zamojskiego.

Blondynka przyjęła wszystkich życzliwie, poprosiła, żebyśmy usiedli na pluszowej kanapie, stanęła za kantorkiem wydobyła z szuflady spis kandydatek i rozpoczęła indagację:

— Dla panów żony w jakim kolorze?

Jurek opowiedział się za brunetką tych pięciu zaś szczerze wyznało, iż nie reprezentują postawy idealistycznej i wobec tego kolor przyszłych żon mniej ich interesuje, niż sytuacja materialna.

To rzeczowe podejście do sprawy zostało przez nas nie tylko poparte, ale i wzmocnione warunkiem posiadania przez kandydatki na żony własnych mieszkań. Tylko bowiem mieszkanie, powiedzieliśmy, gwarantuje szczęście w pożyciu małżeńskim.

Blondynka wszystkie uwagi i postulaty przyjęła z maksimum urozmaicenia, a nawet szacunku.

* * *

W niespełna tydzień w pokoju przy Lubartowskiej serdecznie gratulowaliśmy sobie z Bolkiem i Ludwiczkiem pełnego sukcesu.

Właśnie skończono uroczystości weselne.

Stan kawalerski zmienili nie tylko buchalterzy i nie tylko Jurek ale nawet — zdezorientowany ogólnym zamieszaniem — ostrożny Onufry Tymianka.

Pokój należał teraz do mnie, Bolka i Ludwiczka! Triumfująco ścieraliśmy kredowe kreski dzielące podłogę na pólka.

Przezwyciężając dokuczliwą czkawkę, wspominaliśmy przeżycia ostatnich dni. Nie należały do łatwych: trzeba było podnościć zalety kawalerów, oraz usprawiedliwiać mankamenty niektórych panien młodych. Były panny dziobate, krostawe i zbyt rozkosznie utlenione. Jedna z panien miała porcelanowe zęby, inna nie wymawiała zespołu słów „ariergarda kawaleryskiej brygady". Nic to, wszystko wreszcie załagodziliśmy i uzgodniliśmy ku zadowoleniu stron.

Blondynka każdej parze wydała pisemną gwarancję pięcioletniego szczęścia, które my — jako przyjaciele życia rodzinnego — chętnie własnoręcznymi podpisami żyrowaliśmy.

Jak się jednak nazajutrz jeszcze raz w dziejach świata okazało, zachłanność ludzka nie ma granic, bo przy obiedzie Ludwiczek nagle zaszeptał mi do ucha.

— A co, gdybyśmy się w jakiś sposób pozbyli i Bolka?

Kiedy zaś wieczorem przed pójściem na spoczynek — rozległ się kuszący szept Bolka „a, co, gdybyśmy się pozbyli tak i Ludwiczka", wtedy zapadła we mnie kategoryczna a szatańska w swojej bezwzględności decyzja: trzeba działać z Bolkiem przeciwko Ludwiczkowi, a z profesorem Ludwiczkiem przeciwko Bolkowi.

Poczułem w sobie nowy, odznaczający się niezwykłym natężeniem, przypływ energii. Wszystko wołało we mnie o zdecydowane wysiłki i pociągnięcia, których celem ostatecznym było zdobycie pokoju wyłącznie dla siebie. Kto wie, marzyłem, może w przyszłości wysiudam nawet i samą Grzegorczykową, właścicielkę mieszkania, a wtedy w jednym pokoju urządzę gabinet do pracy, w drugim zaś sypialnię i będę uchodził za jednego z najszczęśliwszych ludzi nie tylko w Lublinie, ale może i w całym województwie lubelskim, nie wyłączając Chełma.

Właśnie zaczynaliśmy konspirować z Ludwiczkiem przeciwko Bolkowi, gdy nagle otwarły się drzwi i...

Niestety, nie pomogło tak skuteczne podobno w niektórych wypadkach przecieranie oczu, szczypanie się w uda i połykanie kropli walerianowych na cukrze: w drzwiach stały pary nowożeńców, z dobytkiem, z parawanami.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie w całej swojej prawdzie istotę biur matrymonialnych: u źródeł tej istoty tkwiło oszustwo. Owe reklamowane przez nas panny-nie-panny (czort je wie!) wyszły zamąż także w nadziei znalezienia tym sposobem mieszkania.

Wszystko, co mówili sobie nawzajem o swojej sytuacji mieszkaniowej nowożeńcy, okazało się bezczelnym bluffem.

Buchalterzy znowu przypomnieli poprzedni sposób: będą rozparcelowywali podłogę na wąziutkie, ponumerowane prostokąty i zsypali do kapelusza jednej z żon gałki z numerami, aby ponownie dokonać losowania.

— Parawanikami — tłumaczyli się — odgrodzimy tajemnice naszego pożycia i wszystko będzie w porządku. No, prosimy — zapraszali — wyciągajcie z. kapelusza gałki!

Ale nam ręce opadły tak zdecydowanie, że nie umieliśmy ich podnieść nawet na wysokość kapelusza... Wraz z opadniętymi rękami uszła od nas miłość, wiara i nadzieja; staliśmy, ogarnięci rozpaczą.

Potem Polska szczęśliwie się poszerzyła. Wyjechaliśmy do Łodzi. Jednak jeszcze co najmniej przez dwa miesiące łódzcy przechodnie ze zdziwieniem zatrzymywali się na widok trójki młodych ludzi którym mechanicznie, jakby na zew niedosłyszalnej komendy, co kilka minut sztywnie opadały ręce. Ta trójka młodych, to byłem ja i moi przyjaciele, Boluś z Ludwiczkiem.

Wreszcie przyszedł ten moment, iż ręce przestały nam opadać, każdy z nas bowiem dysponował dwoma mieszkaniami, a Ludwiczek zajął nawet trzy: jedno w Łodzi, drugie w Koszalinie, trzecie we Wrocławiu. I bardzo dziwił się tym wszystkim, którzy narzekali na trudności mieszkaniowe.

Niestety trwał ten stan do czasu ingerencji t. zw. komisji nadzwyczajnej.

Ale to już zupełnie inna sprawa, której wyświetlenie wymagałoby jakiegoś bardziej przyzwoitego honorarium.

JAN HUSZCZA

MAURYCY BENIOWSKI
I JEGO POTOMKOWIE

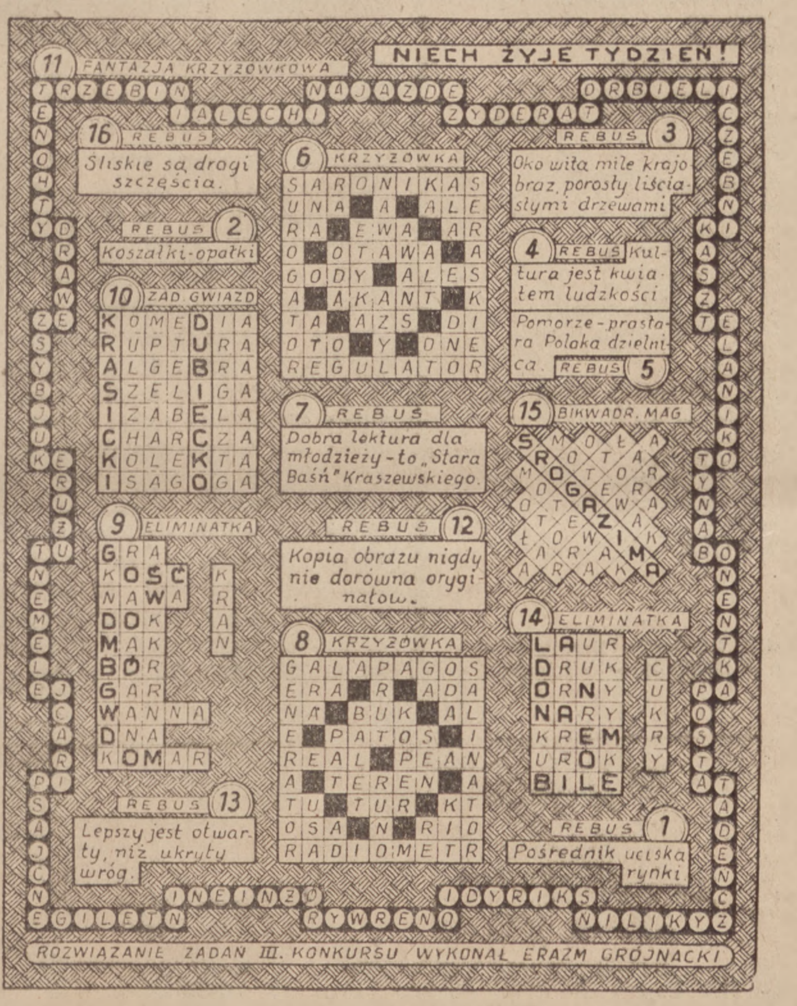
(Dokończenie ze str. 8)

Żyjący dziś na Węgrzech potomkowie polskiego zdobywcy Madagaskaru pielęgnują nie tylko rodzinne tradycje, ale i tradycje polskie. Żyjąc na Węgrzech już ponad 500 lat, obdarzeni tu tytułem hrabiowskim, godnościami i majątkami, nigdy nie zapomnieli swego polskiego pochodzenia, a po nieszczęsnej dla Polski kampanii września 1939, gdy dziesiątki tysięcy polskich uchodźców wojskowych i cywilnych napłynęły na Węgry, dali wielokrotnie wyraz swego przywiązania dla swej dawnej Ojczyzny. Luiza Beniowska, wdowa po ś. p. Maurycym Beniowskim, żupanie Pécsu sama znajdując się w ciężkich warunkach materialnych, oddaje bezpłatnie na rzecz uchodźców polskich starożytny, 150 mieszkalnych pokojów zawierający zamek Siklos pod Pécsem dla ich użytku i w ciągu sześcioletniego istnienia obozu odmawia przyjęcia czynszu mieszkaniowego, przeznaczając należną jej z tego tytułu sumę około 100.000 pengów (ca 100.000 polskich złotych przedwojennych) na cele poprawy warunków bytu polskich uchodźców.

Oddaje również swój dwudziestokilkopokojowy dom w Regyác dla polskich uchodźców, ale jej oferta nie zostaje przyjęta ze względu na sprzeciw Niemców, nie zezwalających na pobyt Polaków w pobliżu węgierskich kopalń nafty i w bliskości granicy jugosłowiańskiej. W „kastely'u" Zalacsány, opodal „Węgierskiego morza" — Balatonu — oddaje Luiza Beniowska i jej synowie własne mieszkanie dla pomieszczenia obozu internowanych oficerów polskich, wypędzonych z ich dawnego siedliska w Gyengyes-Apati przez Niemców i tu również odmawia przyjęcia kwaterunkowego, przeznaczając je wielkodusznie na cele obozu, do dyspozycji jego polskiego dowództwa.

Tyle zdziałali potomkowie Maurycego Beniowskiego dla Polaków otwarcie, niejako oficjalnie, a nieoficjalnie — stokroć więcej. Autor niniejszego artykułu przez kilka lat ukrywał się u nich przed Niemcami i faszystami węgierskimi jako nauczyciel języków, leśniczy, fornal — przy koniach. Ale nie tylko on sam. Były chwile, gdy kilkanaście osób naraz ukrywali Beniowscy przed agentami Gestapo. Oba zaś ich pograniczne majątki, położone niedaleko granicy jugosłowiańskiej: Rigyac i Siklos — były tajnymi punktami przerzutowymi zbiegów z węgierskich obozów internowanych do Jugosławii — na wolność. Potomkowie Maurycego Beniowskiego niemniej zasłużyli się dla Polski niż bohaterski dowódca kawalerii Konfederacji Barskiej. *WITOLD WARKALLO*

Rozwiązanie zadań III konkursu „Tygodnia"
na rozrywki umysłowe



W dzisiejszym numerze podajemy rozwiązania 16 zadań zamieszczonych w ramach III Konkursu „Tygodnia" na rozrywki umysłowe. W następnym numerze podamy listę nagrodzonych

Warszawa Nr I-4766

Konto łódzkie „Tygodnia" w P.K.O. zostaje zlikwidowane.

Prosimy o dokonywanie wszelkich wpłat wyłącznie na konto wyżej podane.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Warszawa Smolna 12 B-3066

Stefania Grodzieńska

BOKS POPULI–BOKS DEI

Tyle się ostatnio mówi o wyrobieniu fizycznym, więc pomyślałam sobie, że jeśli chcę iść z duchem czasu, to muszę być wyrobiona fizycznie. W tym celu udałam się na mecz bokserski. Rzeczywiście bardzo się wyrobiłam fizycznie, wyrabiając sobie miejsce na sali. Rozejrzałam się i zaraz przestałam żałować podartych pończoch i oberwanych guzików u płaszcza. Wszyscy naokoło siedzieli i żuli gumę. Już to mi się bardzo spodobało, bo wyrabia fizycznie szczęki, które mogą oddać duże usługi demokracji, jeśli się ich używa w kierunku właściwe pojętej propagandy. O ile lepiej będzie przemawiał mąż stanu, który ma zwyczaj żuć gumę, niż taki, który miele ozorem bez zastanowienia, nie wyrabiając do fizycznie. Rozglądając się w dalszym ciągu po sali, zauważyłam dużo osób ze świata politycznego, literackiego i aktorskiego, nie licząc już innych światów. Wszyscy siedzieli w podnieceniu wyrabiając się fizycznie.

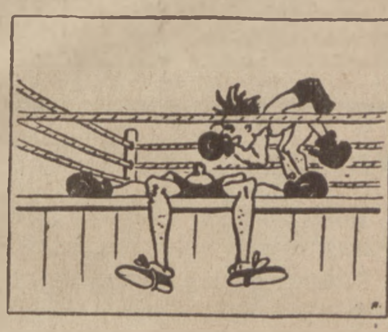
Na środku sali było coś w rodzaju dużego stołu, owiązanego sznurami. Później dopiero zrozumiałam po co były te sznury. W pewnej chwili na stół (który ludzie dostatecznie wyrobieni fizycznie nazywają ringiem) wbiegło kilkunastu panów w krótkich inekspryma-blach, odprawili wstępne ceremonie, ukłonili się i zeszli. Na ringu pozostało tylko trzech, z czego jeden w spodniach. Tu spotkało mnie przykre rozczarowanie. Wciąż się pisze o kulturze duchowej na zawodach fizycznych, a ci panowie w ogóle nie próbowali się porozumieć, tylko od razu zaczęli się bić. I nie, żeby byli pijani! Skąd! Robili wrażenie zupełnie trzeźwych. Pomimo to musieli mieć do siebie jakieś zadawnione pretensje, bo zwyczajnie i po prostu okładali się pięściami. Jeszcze szczęście, że dobrało się dwóch chudych, bo jakby do takiego chudego dobrał się jeden z tych dużych grubych, co też się kłaniali na początku, to by go trupem położył.

Mój sąsiad z lewej strony był niesłychanie wyrobiony fizycznie. Poznałam to odrazu, kiedy trzasnął mnie pięścią w bok, krzycząc: „Wal go! Wal go! Dobra!" Kiedy się ocknęłam po tym ciosie mojego sąsiada, na ringu stało już dwóch innych panów, trochę grubszych. Poza tym nic się nie zmieniło. Tak samo się bili. Skąd oni wzięli tylu ludzi, którzy mają do siebie urazę?

Rozejrzałam się dokoła i stwierdziłam, że wyrobienie fizyczne jest bardzo zaraźliwe. Cała publiczność w coś waliła. W swoje kolana, w plecy sąsiadów i różne inne rzeczy. Sama się zdenerwowałam, ba ten mój fizycznie wyrobiony sąsiad wciąż mnie walił w bok. Uderzyłam go, jak mogłam najmocniej, ale on się nie obraził, tylko się do mnie odwrócił i krzyknął rozpromieniony: „Prawda?!" Od tego czasu zaczął mnie tolerować. Objaśnił mi, że ta pierwsza para, to były muchy, a to są koguty. Nie chciałam kwestionować jego zdania, bo nie jestem do tego stopnia wyrobiona fizycznie, ale nie wydaje mi się, żeby miał rację. Tymczasem tamci już się pogodzili i weszli następni. Wyglądali dużo stateczniej od tamtych i jestem pewna ,że gdyby spróbowali się dogadać, nigdyby nie doszło do takiej bijatyki. Ale nie widziałam u żadnego z nich ani odrobiny dobrej woli w tym kierunku. Bardzo mi było przykro patrzeć, jak dwaj panowie w sile wieku tłuką się po głowach. Pomyślałam sobie, że gdyby nasz szef chciał w ten sposób załatwiać pretensje do starszego buchaltera, to na pewno w biurze ktoś by się znalazł, ktoby spróbował do tego nie dopuścić. A tu przeciwnie. Ten trzeci w spodniach mało, że ich nie usiłował pogodzić, ale ich jeszcze wyraźnie podbechtywał przeciwko sobie. Ile razy zaczynali się już obejmować i wyglądało na to, że sobie wszystko wybaczają, tyle razy ten w spodniach ich rozłączał i zaczynali się bić od początku. Szczęście, że naokoło tego stołu były sznury, bo mogę sobie wyobrazić, do czego by doszło, gdyby bokserzy przenieśli się z meczem na widownię. Na pewno cała publiczność wzięłaby udział w walce, a nie życzyłabym sobie być np. po przeciwnej stronie, niż mój sąsiad, który poszedł na mecz już wyrobiony fizycznie ,podczas gdy ja się dopiero na ,tym meczu wyrabiałam. Więc te sznury, to bardzo mądre urządzenie.



Bardzo się wysiliłam fizycznie, wyrabiając sobie miejsce na sali



Inne urządzenia mi się nie podobały. Jeśli już ci ludzie przyszli tu z zamiarem pobicia się, a nie mają przy sobie pomocniczych przyrządów sportowych, jak butelki, krzesła, czy coś w tym rodzaju, to nie należałoby im utrudniać porachunków osobistych, zakładając im rękawice. Przez to przynajmniej trzy razy dłużej się bili, bo przecież to strasznie nieporęczne.

Na szczęście w końcu wszyscy zawodnicy się pogodzili i widziałam ich, jak wychodzili z meczu w dobrej komitywie.

Ale na przyszłość wolałabym, żeby ci panowie załatwiali swoje nieporozumienia na innej drodze. Jeśli już nie można się z kimś dogadać, to istnieją przecież sądy.

WYNIKI KONKURSU

„ŚWIĄTECZNE WIZYTY PANA ZAGŁOBY"

W numerze poprzednim „Tygodnia" podaliśmy rozwiązanie naszego konkursu świątecznego w barwnym opisie p. Romana Herniczka z Ostrzeszowa Wlkp.

Ogółem nadesłano 1415 odpowiedzi, z których tylko 343 okazały się trafne. Najwięcej Czytelników potknęło się na rysunku drugim i ósmym. Wizytę u Wiecha wielu utożsamiało z wizytą u Gałczyńskiego, Grusa, Zaruby, Minkiewicza, Mikołajczyka i innych. Wizytę zaś Zagłoby u prezydenta Trumana wielu Czytelników określało: u prezydenta Turcji, u króla Faruka, u Mołotowa itp. Inne zadania nie sprawiały Czytelnikom większych trudności.

I NAGRODĘ 5.000 ZŁ otrzymał — p. Roman Herniczek, Ostrzeszów Wlkp., ul. Zamkowa 27;

W wyniku przeprowadzonego losowania dalsze nagrody otrzymali:

II NAGRODĘ 2.000 ZŁ — p. Przemysław Pazdro, Gdańsk — Wrzeszcz, ul. Szymanowskiego 9.

III NAGRODĘ 2.000 ZŁ — p. Wojciech Święcicki, Gdynia, 10 lutego 27 m. 3.

NAGRODY KSIĄŻKOWE OTRZYMALI:

Chmielowski Tadeusz — Łódź, ul. 11 listopada 15 m. 17
Grygerowa Kamilla — Warszawa, ul. Szustra 20-a, m. 6
Wierzbicki Sławoj — Warszawa, ul. Puławska 98 m. 13
Pośląda Eugeniusz — Gdańsk — Wrzeszcz, ul. Korsaka 7 m. 6
Łapiński Zdzisław — Gdańsk — Oliwa, ul. Liczmańskiego 6 m. 3
Dubrawska Eugenia — Warszawa, ul. Koszykowa 2 „Polskie Radio"
Wroniszewski Zbigniew, Łódź, ul. Nowomiejska 2 m. 28
Mackiewicz Gracjan — Dęblin — Irena, ul. Warszawska 18
Sochacka Tatiana — Łódź, ul. Daszyńskiego 25 m. 49
Dobrucka Mirosława — Świder k. Warszawy, ul. Majowa 12
Patalong Janusz — Bydgoszcz, ul. Cieszkowskiego 12 m. 5
Janicka Jadwiga, Szczecin, ul. Boguchwały 6 m. 4
Maczuszenko Włodzimierz — Warszawa, ul. Fabryczna 9 m. 17
Blichowicz Henrietta — Warszawa, Grochów, ul. Łukiska 8m. 2
Dziewanowska Bronisława — Otwock, skrzynka pocztowa 21
Stengl Henryk — Kraków, ul. ks. Poniatowskiego 57
Kauczyński Karol — Łódź, ul. Daszyńskiego 17 m. 13
Mysak Ludwik — Warszawa — Żoliborz, ul. Brodzińskiego 27
Wolffowa Cecylia — Pruszków, ul. Ołówkowa 29
Kiszkis Andrzej — Gdynia, ul. 10 lutego 27 m. 8

PRENUMERATĘ „TYGODNIA" NA ROK 1947:

Kolenda Wiktor — Włochy k. Warszawy, ul. Moniuszki 20 m. 3
Śniechórski Zdzisław — Warszawa — Praga, ul. Siedlecka 27 m. 15
Kołakowski Jan — Wejherowo, ul. Hallera 12 m. 3
Różański Tadeusz — Leszno Wlkp., ul. Rynek 34
Smolarek Konstanty — Brzeziny, ul. Sienkiewicza 4
Jenczówna Zofia — Łódź, ul. Srebrzyńska 87 m. 8
Zirra Józef — Gdańsk — Oliwa, Al. Grunwaldzka 507
Różański Bolesław — Poznań, ul. Wyspiańskiego 14 m. 6
Hurasówna Maria — Wisła. Dom wypoczynkowy „Irys"
Radomski Marek — Otwock, ul. Kościelna 8 m. 10

KOMPLETY „TYGODNIA" ZA 1946 R.

Jarosz Lesław — Tarnów ul. Batorego 1 m. 3
Szczudłowski Tadeusz — Lublin, ul. Gliniana 22
Zagórecki Marian — Warszawa, Żoliborz, ul. Mickiewicza 27 m. 128
Kulczykowski Edmund — Łódź, ul. 11 listopada 15 m. 17
Piasecka Janina — Wrocław Oporów, ul. Wrocławska 34-a
Kucharski Zygmunt — Nowy Sącz, ul. Kraszewskiego 34
Madejczyk Leszek — Tarnów ul. Krakowska 32 „Społem"
Kwiatkowski Antoniusz — Wałbrzych, ul. Uzdrowiskowa 19
Laskowski Bolesław — Siedlce, ul. Brzeska 7
Wysocki Alfons — Kościerzyna, ul. Hallera 5 m. 6

Wszystkie nagrody wysłane zostaną pocztą.

TRASA LOTU

Warszawa — Berlin — Haga — Madryt — Londyn — New York — Washington — Hollywood — Nankin — Kalkuta — Warszawa.

